

Cyprian Kamil Norwid

PROZA

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

PAMIĘTNIK PODRÓŻNY	3
CYWILIZACJA. LEGENDA	4
I.....	4
II.....	6
III.....	7
IV.....	10
V.....	12
VI.....	15
„AD LEONES”	16
MENEGO. WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKA	26
CZARNE KWIATY.....	30
BIAŁE – KWIATY	41
MILCZENIE.....	52
CZEŚĆ WSTĘPNA.....	52
DRUGA CZĘŚĆ, WŁAŚCIWA: GRAMATYCZNA, FILOZOFICZNA I EGZEGETYCZNA	60

PAMIĘTNIK PODRÓŻNY

Tegoż roku podróżowałem po Polsce – dwóch nas było: ś.p. Władzio Wężyk i ja – mieliśmy z sobą kilkadziesiąt tomów książek, mianowicie historii dotyczących kronik i pamiętników. Szlachcic jeden, bardzo szanowny obywatel i dobry sąsiad, i dobry patriota, zobaczywszy podróżną biblioteczkę naszą, ruszył głową i mruknął : „**To chleba nie daje!...**”

Wszelako jednego razu tenże sam, w żółtym szlafroku, w czapce z guzikiem na szczycie głowy i z fajką na długim przedziurawionym kijku, wchodzi do nas: „Oto (powiada półgębkiem i przez ramię) dajcie mi też jaką **książkę z brzega**, bo idę spać do ogrodu.”

Brałem przeto z brzega książkę i podawałem ostrożnie obywatelowi, tak jako w kwarantannie podaje się z rąk do rąk, ile możliwości dotknięcia osoby unikając.

I widziałem tylko tył osoby poważnej w szlafroku żółtym popstrzonym w duże kwiaty piwonii – rzecz ta wychodziła z książką w rękę a po niedługim przeciągu czasu widziałeś też samą postać na trawniku snem ujętą.

– – Wszelako, po wielu i wielu latach spotkałem na ekspozycji w Paryżu potomka owegoż obywatela.

Ten mówił mi o sztukach pięknych różne spostrzeżenia swoje... „Lubię i muzykę! (powiadał mi) Lubię i muzykę, i jak sobie wrócę z pola, a człowiek mi buty ściągnie, to ja sobie lubię tak dumać i nogi moczyć, i słuchać, jak mi żona moja gra na fortepianie Chopina!...”

Malaturę (*malaturę!*...) także lubiłem – nim-em się ożenił!”

Nigdy pojąć nie mogłem, dlaczego malarstwa zaniechał on lubować, odkąd ożenił się – myślę, że to znaczy, iż ideał-wcielony zajął miejsce onej **malatury**, która pierwiej była obywatelowi przyjemną.

Szkoda, że nieboszczyk Fryderyk nie wiedział nic o tym!!

CYWILIZACJA. LEGENDA

I

Znajomy mój młody uwagi mi robił, że żaglowym lepiej okrętem przepływać Oceanu przestrzeń. – Pozwoliłem mu mówić w tym przedmiocie i słuchałem go, oparłszy się kolanem o tłumoczek podróżny, a biodrami o ciosaną z kamienia poręcz wybrzeża portowego.

Ale skoro domówił on periodu – ale skoro spojrziałem na wielki zegar miejski i zmiarkowałem, iż za niewiele czasu parostatek, zwany: **Cywilizacja**, ruszy z miejsca, gdzie przystał był, i osobę moją z sobą poniesie, przerwałem młodemu przyjacielowi memu jego mówienie.

– Był czas – rzekłem – kiedy w rzeczywistości dotykanej pod ręką moją miałem klucze piękności onych, o których marzenie swoje mi przedstawiasz – –

A słów tych domówiwszy, wbląkały mi się w pamięć rymy, które nuciłem, oglądając klamry i zamknięcia podróżnego mego tłumoczka.

Co dzień woda w okręt ciecze,
Nogą z łoża ani stąp;
Co wieczora – o! człowiecze,
W górę rękaw! – i do pomp.

Pożegnałem, co kochałem,
Upominek złączy nas;
Ręką jedną – **przestrzeń** dałem,
Drugą ręką dałem **czas**.

Co dzień woda w okręt ciecze,
Nogą z łoża ani stąp;
Co wieczora – o! człowiecze,
Rękaw w górę – i do pomp!

– Oto i widzisz – mówiłem mojemu młodemu znajomemu – że rzeczy te nie są mi wcale obce; owszem, od ogromnych żaglowego okrętu podwalin, budowanie arki przypominających, a które spoczywają na samym dnie łodzi okrętowej; przeszedłszy następnie miejsca ciemne, gdzie ordzawione wodą słońa łańcuchy kotwic się pierścienią lub wy-

ciągnięte są podłużnie w niedbałym na posadzce odpocznieniu; przeszedłszy jeszcze wyżej, do korytarzy kabin, i wyżej, na pokład okrętowy, którego każda deska biała jest i miękka od umywań, a wszystkie są jakoby wieko skrzypiec pięknie wygięte; i podniósłszy oczy tam, gdzie lin wielu okrętowych niewzdrygliwe siatki się przekreślają na niebiosach, albo i gdzie powietrze rozbija namioty swoje szerokimi żaglami – albo i gdzie trzy masztów krzyże kończynami swoimi podobne są jakiejś mistycznej troistości, kiedy umierają we mgłach rannych, w mętach opalowego światłocienia a wilgoci ciepłej i słonawej, mętach niekiedy przedartych zgubionymi przez odeszłe słońce promieniami – wszystko to, jak widzisz, jest mi znane.

To – i nadto huk żagli pękających, do wystrzałów poddać się mającego miasta podobny – i upadanie majtków niebezpieczne ze szczytów zatrzęsionego burzą masztu – i przekleństwa ich, językiem mówione morskim, który może jeszcze fenickie ma w korzeniu swoim pierwiastki – i niecierpliwienie się czterech łodzi, zawieszonych po okrętu bokach, a które tylko w czas przystani spokojnej lub w czas ostatecznego niebezpieczeństwa bywają z łańcuchów swych spuszczone.

Jakoż – od oczyszczonego najstaranniej miedzianego gwoźdźca okrętowego aż do gwiazdy w niebiosach jak gwoździe błyszczącej. Takoz, od safirowej chwili najpogodniejszego uciszenia aż do czerności otchłannej burz powietrznych – od wyciągniętych różowych rąk dziecięcia ku rybom wielkim, co idą za okrętem niby że psy domowe, aż do rzucających twarde rozkazy gestów okrętowego kapitana w rękawice futrem szorstkie uzbrojonego. Jakoż od tego, co podpira i uspokaja, aż do tego, co tobą jako liściem suchym pomiata i czyni ciebie znikomością podrywaną z planety, albo daje ci uczucie do onych dwóch w niczym niepodobne: bo uczucie tępego i głuchego spokoju materii ze znużenia – uczucie głębokie i nikczemne! – podobne do rozmowy ciała człowieka składających z planetarnym ciężenia środkiem. Kiedy, jednym słowem, jesteś dlatego tylko, że chwilę przedtem byłeś, nim, na mokrym i mętym zwoju poplątanych sznurów okrętowych wyciągnąwszy się, rzekłeś sobie niezrozumiałym językiem dla nikogo: „Oto jest stateczność i spoczynek.”

O! tak – powiadam tobie, i widzisz, że poezja tych rzeczy bezpośrednio mi znana – ani co nowego pod tym względem obiecywać sobie potrafiłbym! Lecz zmęczony już jestem i dlatego wybrałem dogodny paro-statek, **Cywilizacją** zwany, ażeby wśród rękojmi, które człowie-

kowi epoka ofiaruje, zarazem drogiego użyć spoczynienia i zarazem chwili jednej nie utracić, z szybkością wielką postępując.

A kiedy to mówiłem, usłyszeliśmy niecierpliwy poświst i usłyszeliśmy gwałtowny szum wybuchu kotła parowego. I żeglarzy dwóch w kapeluszach, na których wypisane było słowo: **Cywilizacja**, ujrzeliśmy idących ku nam po szerokiej desce łączącej pokład statku z wybrzeżem – ci uchwycili podróżny mój tłumoczek – a ja uściśnąłem miękką rękę młodego mego znajomego i poskoczyłem za unoszącymi ciężar, aż wzdrgnęła się deska, która wybrzeże z **Cywilizacją** połączyła.

O! deski te – żebyście wiedzieli! – jak deski, które w portowych miastach na wybrzeżach martwo i cicho leżą – żebyście wy wiedzieli, do ila patetycznymi one są sprzętami! – Wszakże one nie więcej nad półtora stopy bywają długie, a łączące nieraz **świata części!**

Pożegnałem, co kochałem –
Upominek złączy nas
Jedną ręką **przestrzeń** dałem,
Ręką drugą dałem **czas**.

II

I nie wygłaszając słowem mówionym, ale tylko nutą samą dośpiwując te rymy, wbiegłem pomiędzy ramiona dwóch żandarmów, którzy odpłynięcia statku strzegli, jako kariatydy dwie czczość powietrza podpierające – i oto pomiędzy onymi policjantami dwoma, jakoby przez odrzwia furty żywej, wszedłem na **Cywilizacji** pokład.

Pięknie było – świeciło słońce Boże, odbijając przybywające do nas przez otchłanie-otchłani promienności swoje w świecących guzikach policjantów i w mosiężnych parostatku gwoździach – czystość albowiem i porządek nigdzie może więcej uwidomionymi nie bywają, jak na odpłynąć mającym statku parowym.

A że znałem tam, wśród podróżnych, niejakiego lekarza, po wielokroć drogę tę robić nawykłego, tedy umyśliłem sobie, iż obeznać mi będzie mógł nieledwie ze wszystkim i nieledwie ze wszystkimi. Był to zaś człowiek wieku podeszłego, który przez lat trzydzieści lekarskie rzemiosło praktykując, tak wielką zyskał sobie wziętość, iż nareszcie musiał zaniedbywać powierzających się mu chorych, z powodu iż zbywało mu czasu na indywidualności ich mieć względy – wycofał się przeto jak mąż zacny z tak niebezpiecznego pola prac swych i przesta-

wał najwięcej z przyjacielem swoim adwokatem, który niemniej, tąż samą drogą, dlatego tylko że słynnym był i sumiennym, na prywatne usunął się był ustronie.

Tych mężów dwóch szukałem oczyma mymi, na statek wchodząc, ale mieszało się jeszcze krzątanie się podróżnych, którzy właśnie że weszli, i krzątanie się służby okrętowej, którą portowy rządził pilot spostrzegłem więc tylko kilku dzikich ambasadorów niejakiego książątka z wysp odległych, którzy z tłumaczem swym i służbą obchodzili dokoła wnętrze okrętu, macając rękoma poręcze wschodów mahoniowe i ozdoby mosiężne bardzo świecące – a na twarzach tych dzikich była radość, że wszystko dokoła jest tak **równo, pięknie i gładko**.

III

I płynęliśmy dzień jeden i dzień wtóry – a dnia trzeciego, gdy byliśmy jeszcze na onym wstępnym Oceanu pasie, gdzie zielone fale uderzają o ściany wapienne i pionowe wysp niewielkich, wzmogły się wiatry znaczne i była burza. Co jak tylko się pomiędzy podróżnymi rozgłosiło, zeszli jedni do kabin, ażeby wyciągnąć się na łózkach swoich, drudzy zaś na pokład okrętu pośpieszali, „ażeby – mówili oni – **burzę widzieć**”.

I widziałem, jako wstępował na ów pokład niejaki **oficer kawalerii**, płaszczem się swoim okrywając, spod którego kończyn świeciły się krzywe ostrogi – był to energiczny człowiek i mający gesty niespokojne, jakoby szukające wkoło siebie, czyli nie jest co? do uskromienia.

Żywiół wszelako rozhukany, parszając białymi śliny swymi, mało waży sobie energii ludzi pojedynczych, skoro te nie za pośrednictwem praw żywiołowi onemu właściwych krzątają się, i jakkolwiek bądź sprężyście się niepokoją, jest to żywiołowi obojętne.

Majtek jeden w opończy ceratowej, od stóp do głów strumieniami wody jaśniejący, przebiegł gwizdząc obok oficera kawalerii i podtrzymał zachwianą postać niewieścią, która właśnie że na pokład wstępowała, trzymając się ręki pewnego młodego podróżnego. O osobie tej zaś mówiono na okręcie, że jest przez nadobnego towarzysza swego **wykradzioną**.

Piękna była to dama, ale co do nieposzlakowanej dorodności, należało się więcej jej miłemu, który przy tym bardzo rzewliwe miał spojrzenia i ruchy więcej niż wykwentne. Spoglądali oboje jako ludzie mo-

rza nieświadomi, którym się wydawa, iż burza morska ustępów nie ma bardzo blisko uczuć się dających, ale że jest czymś z daleka i od razu do widzenia możebna, jak opera. On zatopił błękitne oczy swoje w chmur nawaly, a ona zdała się wejrzeniem i poczuciem iść za wszelką myślą towarzysza, gdy tymczasem miotły się fale ogromne na przechylany w otchłań pokład, i nie było bynajmniej winą moją, że dostrzegłem obuwie więcej niż lekkie na udatnych stopach nieznajomej, tak iż myślą mą było zbliżyć się i ostrzec tę osobę, jak dalece naraża zdrowie swoje – lecz gdy na to wspomniałem, iż **wykradziona jest**, wstrzymałem się i zwierzyłem to zacnemu doktorowi, z którym na jednej z ław pustych usiedliśmy.

Ku czemu poważny mój przyjaciel rzecze do mnie:

– Obraziłbyś młodego tej pięknej osoby towarzysza, ale i ja sam dopiero jutro uwagę tę zrobić im potrafię, gdyby mię w tym względzie zapytano; jakkolwiek znam młodzieńca, owszem, dlatego właśnie, iż znam go, jestem ostrożny. Jest to albowiem **czuły człowiek** – czuły, mówię – to jest: obraźliwy; raz usłyszysz od niego łzą rzewną przesiąkłe słowo, drugi raz znowu jedną z tych sentencji, która, gdyby była wyrzezaną na mosiężnej gałce grubego jakiego kija, zaledwo że byłaby na miejscu swoim. Przy tym słodkie i tkliwe ma on chwile – sam powiada, iż jest artystą – żony swojej pod rękę mu nie dawaj, bo się jej oświadczy z łzami w oczach – książki mu ani parasola nie pożyczaj, bo gotów je zatrzymać sobie na pamiątkę!

A gdy słów tych właśnie domawiał poważny mój przyjaciel, spostrzeżliśmy, że i oficer kawalerii, mojego będąc zdania, zrzucił płaszcz swój szeroki, pod stopy go pięknej nieznajomej chcąc podesłać – lecz ośmiu majtków zadyszanych, z wołaniami służbie okrętowej właściwymi przewlekając tamtędy ogromną linę, rozdzieliło nagle ową grupę i wepchnęło ją w otwór, którejdy schody do salonów i do wewnętrznych kabin prowadziły.

Poważny mój przyjaciel i ja wcisnęliśmy się w głąb siedzenia, aby przez to dać miejsce linie ciągniętej, a obok nas zajmował miejsce człowiek do pół oblicza szalem wielkim szkockim osłonięty, który zwykł był zacięcie milczeć albo się o rzecz najmniejszą oburkiwać, i którego przeto na okręcie zwano **konspiratorem**.

Był to wszakże spokojny obywatel, ale hipokondryk i boleściom romatyzmów podległy, a który że wiedział, iż go za konspiratora uważano, nie tłumaczył się z zarzutu tego; aby przeto na siebie tym więcej podejrzeń nie sprowadzić. Korespondent jednego z bardzo użytecznych

dzienników europejskich miał wyraźnie na oku postać ową w szal szkocki do pół oblicza osłoniętą, a majtkowie nieraz znakami masońskimi milczącego obywatela pozdrawiali.

Ściśle rzecz określając, burza była zaledwo tyleż burzą, ile ów o zbrodnię stanu posądzony podróżnik był tym, za co go brano. Są albowiem zawichrzenia morskie, które, zdawałoby się, że ku temu tylko istnieją, aby świeżo zapoznanym z tego rodzaju podróżą gościom zadowolenie sprawić.

Kapitan się nie ruszał z wielkiego salonu, gdzie grał w szachy z tłumaczem ambasadorów dzikiego ksiązątka, i żuł cicho amerykański tytoń, żółty jak złoto.

Po przestanku niewielkim rozświeciło się powietrze i wielka jakoby błogość napełniła je wiosennym tchnieniem – a na ogromnej przestrzeni fal ruchomych i pianami białymi grzbiety swoje giętkie rysujących położyła się ogromna tęcza, która dla niezmiernego wody obszaru nie dostawała prawie niebios, ale raczej podobną była do ukośnie wspartego gotyckiego okna, poza którego szybami trójbarwnymi widać było każdą z fal, i widać było wszystkie fale coraz drobniej łamane, aż do nieustannie ruchomych a ostatecznych kresów widnokągu.

Że zaś na okręcie każdym są osoby, które dopiero zjawisko jakie rzadkie wywołuje z ich kabin – albo które, i owszem, wtedy jedynie na pokładzie pokazywać się lubią, kiedy domyślać się można, że jest pusty: miałem przeto sposobność zauważyć, iż płynęliśmy w towarzystwie katolickiego księdza misjonarza, tudzież kilku zakonnic, na dalekie świata krańce nieść mających służby swoje, miłość i pokorę. Ci jednak podróżnicy, ażeby suknią kapucyńską i szatami wyłącznych krojów nie wzbudzać śmiechu, bardzo rzadko się na **Cywilizacji** pokładzie pokazywali.

Tęcza nikła powoli, a okręt nasz wielkimi swymi kołami na dwie strony odpychał góry ogromne tych fal czarnych, które nieraz od najwyższych okrętu żaglowego masztów wynioślejsze bywają i zwiastują pośredni, że nazwałbym: **osiowy**, pas Oceanu.

Emigrant niejaki – zacny człowiek – i podróżnik jeden uczony, który wyłącznie archeologią się zatrudniał, zbliżyli się do ławy, którą z przyjacielem moim zajmowałem, ale ten, którego zwano **konspiratorem**, uprzedził ich gestem pogardliwym, okazując, iż wystarczającego miejsca nie było.

Zdarzenie to, acz małe, byłoby mi wcale nieprzyjemne, gdyby nie poszło za nim pośpieszne przyjaciela mego ostrzeżenie, który wszystkich podróźnych znając, tak do mnie mówił:

– Emigrant ten bardzo szanownym jest człowiekiem i zaiste, że o nitu powiedzieć by należało, że konsekwentny jest. Cierpiał on długo w Europie i oto poza jej krańce teraz udaje się odpocząć – to zaś go przede wszystkim zbliża z Archeologiem, iż ów pierwszy, będąc rzymianinem, chce nieodzownie Rzymu na stolicę Włoch odrodzonych, Archeolog zaś dalej się posuwa, proponując, aby koniecznie stolicą Polski przyszłej była Kruszwica, lub przynajmniej stojąca na Gople Wieża Mysza. Co zaś do Francji, tę ma rządzić prokonsul rzymski, w monumentalnym Nimes lub Arles obyczajem dawnym konsystujący.

– Jedna wszakże rzecz jest szczególniejsza – dodał następnie mój przyjaciel – to jest, że **mąż oddany po szczególe samej tylko archeologii nigdy na mszę nie chodzi!**

– Cóż więc – rzekłem – pojąć on może z umiejętności swojej? A przyjaciel mój mi odpowiedział:

– Jest partykularnym akademii korespondentem.

I chciał jeszcze dalej coś mówić mój przyjaciel, ale usłyszeliśmy, iż Emigrant począł przypatrującemu się znikającej tęczy Kapucynowi ciskać żarty z udziału Świętego Ducha w Kościoła sprawach, żarty gwałtem jako przedmiot naciągane; a rozmowa ta rosła bezprzykładnie i już mogła być wkoło siebie wiele osób zgromadzić, gdyby nie pokazanie się nagle redaktora-jednego z bardzo użytecznych europejskich czasopismów – którego to Emigrant skoro spostrzegł, uchylił się na bok magnetycznie, jako kiedy północnej jakiej armii sierżant robi miejsce samemu generałowi.

IV

I płynęliśmy jeszcze dni trzy – i jeszcze pół dnia – co uczyniło razem sześć dni – a około południa dnia siódmego wyszedłem na pokład okrętowy, czując uciśnienie smutku – smutku, którego treść i powód były mi zupełnie nieznanymi. Są albowiem boleści wewnętrzne i udręczenia ducha, które się bezpośrednio i doraźnie z pochodzenia swojego nie tłumaczą. Co większa, iż sama wrażeń ekonomia i następstw ich porządek nie są rzeczą dla śmiertelnika najjaśniejszą.

Jakoż, wielce chcąc płakać, ale nie mogąc i jednej łzy uronić, aby spadła w Ocean, przysłuchiwałem się periodycznemu chrząstowi budowy parostatku z niedbałością człowieka, któremu jest wszystko obojętne. **Cywilizacja** zaś szła jak nigdy, wielką dymu kolumnę na niebiosach i nikły ślad na falach Oceanu zostawując za sobą.

Ludzie dzicy z tłumaczem przechadzali się po pokładzie, ogłaskując rękoma poręcze i wręby okrętowe – a widziałem radość na ich obliczach, że tak wszystko **równo, pięknie i gładko**.

Wszelako siedząc, nie powiem: w zadumaniu, ale w czczości myślenia, rozświeciło mi się nagle zupełne pojęcie istoty smutku mego – rzecz, której się bynajmniej nie doszukiwałem sztuką badania. Tak dalece pewno jest, iż ażeby zapalić ogień, urządza się zaprawdę długo wszelakie palne materiały i zanieca się iskrę; ale ażeby buchnął tenże ogień, trzeba jeszcze dla tego wszystkiego chwili pewnej, która, siebie nadto dodając, czyni, iż nagle całość płonie. I nie inaczej rzecz się ma z myśleniem.

I oto więc rzekłem sobie naraz: „Zaiste, że przyczyną smutku mego jest zupełna samotność – Cóż albowiem wszystkość tych obywateli okrętu naszego pomoże mi, albo w czymże jesteście sobie współudzielni? Nie wystarczyłoby oto siedmiu dni, ażeby dojść do tego, iż otworzywszy usta, można wiedzieć naprzód wszelakie następstwa dialogu – wiedzieć: co człowiek **czuły**, i co **oburkliwy** obywatel, i co **energiczny** oficer, i co **Archeolog**, co **Emigrant**, i co **Redaktor** – jednego z bardzo użytecznych europejskich czasopismów – odpowiedzą. Myśl żywotna w ludzkości byłaby tak mechaniczną pracą i tak źródłowej żadnej wnętrzości swojej nie mającą? **Prawda jestże tylko ostatecznością wynikłą ze starcia się i wzajemnego odpychania jednostronnych humorów rozmawiających z sobą obywateli?** Ale sama przez się azali, powtarzam, prawda nie jest niczym, tylko czczością myślenia? – tylko jestże ona jakoby tym miejscem na coś przypadkowego, i tą jakoby idealnie pojętą próżnią, o której się mawia w umiejętnościach, wiedząc wszelako, iż próżni nigdzie nie ma? Jednym słowem – jestże więc prawda kłamstwem?

Albo – mamże raczej przypuścić jako obowiązujące ostatecznie pojęcie: iż prawda jest wynikiem tylko samej redakcji **myśli i zdań**? I że ona przeto jest jako te na cyrkach płatnych amazonki, które z pędzącego wokoło siodła i konia podskakując, przebijają czołami w korony ubranymi wielki arkusz bibuły, ażeby po drugiej tegoż arkusza stronie

na uciekającego upaść żrebca, przy oklasku i przy śmiechach rzeszy patrzącej ?

Zaiste, że jedna jest rzecz łącząca doskonale obywateli okrętu tego rzecz, mówię, jedna jest.”

A słowa te wyrzekłszy, uderzyłem nogą w ruchomy pokład statku, jakoby powiadając sobie samemu: „Oto jest ta **rzecz jedna** i nic więcej.” Szczególniejszej natury powiew i poświst zerwał płaski kapelusz jednemu z chłopców okrętowych, porzucając go precz, daleko na fale Oceanu – a na kapeluszu tym wokoło była wstęga czarna i był złożony na niej napis **Cywilizacja**.

V

Kilka osób poskoczyło wraz ku wrębowi okrętu, w stronę gdzie wiatr pomiótł kapeluszem, nie ażeby myślą ich było coś w tym pomóc, ale że to w naturze nagłych wydarzeń leży, iż za sobą nerwy pociągają. Szczególniejszy był to wiatru poświst, nie mający nic w sobie podobnego do otaczającego nas powietrza – zimny – nagły, ale nie dorywczy i przechodni – owszem, utwierdzający się co chwila, jakby całą atmosferę miał odmienić i odmienić miał siłę.

Ci, co w murze patrzyli, kędy już na pianie fal dalekich dojrzeć nie można było kapelusza, spostrzegli nagle krągłą bryłę, jakoby kryształ jaśniejącą, którą koła okrętu odepchnęły, aż usłyszany mógł być odepchnięcia owego cios i poszturg –

Majtków dwóch pobiegło na maszt główny – rozruch jakiś i poszept wywołał samego Kapitana, który, krokiem mierzonym przeszedłszy wschody, stanął w odrzwiach na pół widny, zakryty wnętrzem schodów. Kapitan ręce miał w kieszeniach, czapkę na tyle głowy zarzuconą ukosem i poobiednie piórko w zębach.

Ktoś z podróżnych usłyszał w kuchni okrętowej, że zbliżają się lody niespodzianie od północnego bieguna oderwane i płynące obszarem Oceanu – ale tenże sam w chwil niewiele głośno zaprzeczał, jakoby coś podobnego miał usłyszeć!

Tymczasem wszelako dookoła już było zimno i grudniowo, a mało kto zostawał na pokładzie – i zmrok upadł wcześniejszy niż za dni przeszłych.

I stało się coś pomiędzy podróżnymi w salonach okrętu, ale wiedzieć nie można było, o co idzie. Ktoś powiedział, że wiele dni podró-

ży naszej straciliśmy – ktoś pomyślił, że sam Kapitan pomylił się w rachunkach swoich.

Przy herbacie wieczornej usługa poczęła być mniej ściśle dopełnianą, a Kapitan bynajmniej się na dole okrętu nie pokazywał. Uważałem, że energiczny oficer kawalerii wziął w protekcję swoją piękną osobę wykradzoną, a młodzieniec czuły zbierał klucze od podróżnych torb i tłumoków.

Zaś około północy, kiedy jeszcze nikt nie spał oprócz dzieci, a zakonnice podróżne w kabinach swoich kryjome modlitwy odmawiały, usłyszano wołanie niezwykłe na pokładzie, który był ciemnością bezksiężycowej nocy osłonięty, tak że na mdłej niebios jasności czarną ledwo plamą się wydawał przechadzający tam i owdzie po strażniczej desce Kapitan, który z niej już od wielu godzin nie zstępował. I uważałem go, o ile dostrzec można było, że był spokojny.

Ale wołania niezwykłe i po całym rozlegające się okręcie, spowodowawszy za sobą kilkunastu ludzi służby żeglarskiej pędem wielkim biegnących z zapalonymi w rękach kagańcami, uczyniły, że bynajmniej już wątpić nie można było o nadpływającym szlaku wielkim polarnych lodów, które każdy mógł widzieć: bryłami ich ciskały ogromne fale, co dawało nadzieję, iż wielkim pędem statek mimo przemknie, i szło jedynie o to, aby na widnokręgu krańcach dojrzeć, azali gdzie mnogimi lodów pokładami zaostrzone powietrze, na rozłomy te oddziaływając, w jednolite prawie całości ich nie jednoczy?! –

Poświsty wiatru, jakby brzemiennego szronem, raz po raz przez wszelaki otwór budowy okrętowej przechodziły.

Cofnąłem się w jeden z korytarzy, lecz zbłądziłem w kuchni okolicy. Majtków kilku spostrzegłem pochylonych nad beczką wódki, którzy poza ramiona swoje pół-ostrożnym, a pół-pogardliwym cisnęli ku mnie spojrzeniem. Zdawało mi się, że Kapitan otarł się o ramię moje w korytarzu i zdawało mi się, że ten, który mię właśnie ubiegł, miał pistolety w rękach – usłyszałem dwa strzały i dwóch ludzi pijanych, odepchniętych od beczki konwulsją śmierci, zobaczyłem – poznałem Kapitana z dymiącymi w rękach pistoletami: dawał rozkazy reszcie żywych, którzy zdawali mi się trzeźwieć.

A cofając się od jęku konających w boczny statku korytarz, usłyszałem śmiechy, przekleństwa i gadania ochryplym gardłem niestające – i coś podobnego do naglonych pośpiechem modlitw – więcej przeklinaniu podobnych.

Zobaczyłem, że Emigrant wychylał butelki, a Archeolog zbierał próżne i nadziewał je rękopismami swymi, na niebezpieczną się chwilę przygotowując. W salonie Redaktor zapowiadał, iż trzeba, ażeby się wszyscy zgromadzili dla wystosowania komitetu, złożonego z **mężów zaufania**, który by nadwerżonego strzegł porządku, ale koło lewe, właśnie wtedy o ogromną bryłę lodu uderzając, wyszczerbiło się z łoskotem strasznym, i cały się okręt wstrząsł gwałtownie. Kapitan po raz pierwszy usta swoje otworzył dla zapowiedzenia publiczności, iż oczekuje świtu, aby niebezpieczeństwa ważność mógł ocenić. I widziałem, że z krzyżem w ręku wszedł Kapucyn nogą bosą na okrętowy pokład, ale mu Kapitan kazał precz iść, ażeby się panik nie roznosił pomiędzy publicznością i majtkami – parę głosów powstało przeciw temu, owszem, żądając księdza. I zawołał Kapucyn : „**Na morzach tych czasu onego Krzysztof Kolumb w takimże jak ja dzisiaj stroju – –**”, ale Kapitan ręką skinął i odsunięto mnicha, a Redaktor ozwał się do publiczności, że stateczniej niżli kiedykolwiek władzę prawą szanować trzeba, i mówił jeszcze coś więcej o przesądach ultramontańskich, czego wszakże zrozumieć nie można było, bo był pijany.

Kapitan zaś, przeszedłszy mimo mówcy, skinął ręką, ażeby się dzieci i kobiety w okolicy głównego masztu trzymały – potem wyteżonym okiem szukał długo pierwszych brzasku jasności – i chciał jeszcze raz wniść na strażniczą deskę, ale w połowie schodów się zatrzymał i zawołał głosem wielkiem ku maszynieście na dół: „**Ognia!**” –

A oto nagle cały okręt zdawał się porywać jako balon, który właśnie że uwiązania swe opuścił, i wszystko, co było na okręcie, jakoby się zanosło na pęd wielki, gdy wraz góry lodowe z dwóch stron statku na koła dwa się wtarły, aż odpryski wielkości przeraźliwej, ponad głowami tłumu lecąc, uderzyły w komin okrętu z dziwnym łoskotem.

Chciałem gdzieś iść – gdzie ? nie wiem. Chciałem szukać kogoś – nie wiem, kogo ? – wydawało mi się, że odebrałem w czoło uderzenie wielkim lodu odłamem, lecz rozeznac nie mogłem, czy mi się w oczach zaświeciło, czyli zajaśniały blaski ranne?

Zgadywałem, że uwięziony za dwa swoje koła parostatek targał się tam i owdzie na podobieństwo uwikłanego w pęta słońca, a cokolwiek poruszyć się chcąc naprzód – lubo gdzie?! nie wiem – uczułem się nagle porwanym jak ciężar martwy – i uczułem się zatoczonym po pokładzie, i rzuconym głową na przedmiot miękkiej, który dawał mi się poznać, że był ramieniem.

VI

A kiedy, już nie wiem, które od onej pamiętnej nocy, słońce weszło?! rozpoznawać zacząłem, iż oparty jestem o ramię siostry szarej, jakoby podobnej do jednej x owych, które na rozbijającym się statku byłem widział. Ale umysł mój był osłabły, i zdawało się, że niewiele już prawa do rzeczywistości posiadającym będąc duchem, począłem spojrzenia moje ograniczać na widnokregu niezbyt od dłoni mojej szerszym.

Więc patrzyłem na fałdy grube szaty wełnianej, którą zakonnica była osłonięta, i podniosłem palec, ażeby z sukni jej odtrącić plamę zastygłego wosku, którą okapana będąc, wydawało się, jakby jej różaniec bursztynowy po fałdach spływał.

Ale ona rzekła mi głosem dziwnym, bo podobnym do wszystkich głosów wszystkich przyjaciół moich:

– **Wosk ten zostaw, albowiem jest z gromnicy, którą na pogrzebie twoim trzymałam w ręku.**

„AD LEONES”

To nie był wcale ani mało obiecujący talent, ani mało dotrzymać mogąca organizacja, ów rudobrody rzeźbiarz, który o godzinie zamknięcia prac chadzał prawie co wieczór do **Caffé-Greco** z wielką swoją charcicą kirgiskiego pochodzenia.

Sam wybór zwierzęcia, które jednało wdzięk i siłę w czytelnie naczynych mięśniach swoich, dawać już mógł uważnemu postrzegaczowi do mniemania korzystnego o umysłowej godności osoby, która te, a nie inne upodobała sobie stworzenie. Jeżeli albowiem generał **Jomini** twierdzi, iż koń, nie zaś kawalerzysta, „dobrą jazdę czyni”... tedy z daleko więcej psychologicznych względów utrzymywać byłoby właściwym, że dobranie sobie tego lub owego psa rodzaju głośno o dobierających poczuciach i umyśle znamieniuje. Jużci rzeźnik zupełnie innego psa ma na myśli, jak łowiec, albo szlachetna dama...

Śliczny to był ów rudobrodego rzeźbierza pies, z wolna przed nim idący z paszczą otwartą i w niej rozestłanym na białych kłach amarantowym językiem, do świeżego liścia purpurowego jakiego kwiatu podobnym. Szedł on z wolna, z rodzajem spaniałomyślnej grzeczności nikogo nie potrącając, lecz gdy mu poczynali umyślnie wadzić ulicznicy chłopcy, oglądał się raz na pana swego i w tymże samym oka mgnięciu, jak tknięta sprężyna doskonała, z miejsca przeskakiwał całą cizbę i szedł dalej powoli, gdy za nim chłonący od strachu swawolnicy z bruku się podnosili, jasno na razie nie pojmując, co się stało?... Podobnież i w kawiarni kilka stołów szkłem zastawionych przeskakiwał, nic nie potrącając, a w też same naturalne i powolne wracając ruchy, żadnego pokłasku nie oczekiwał, jakby mniemał, iż każdy z siedzących tam gości potrafiłby toż samo zrobić.

Toteż cenną była **u wszystkich** śliczna charcica!

Gdy mówi się: **u wszystkich**, znaczy: u pewnej grupy i u dwóch chórów (greckich) – u chóru dopowiadającego swoje słowa i u gestykującego. Grupa rudobrodego rzeźbierza stanowiła zarazem jeden z czterech kątów bilardu, a składała się pogłównie z redaktora **Gazety-beletrystyczno-politycznej**, z pięknego śpiewaka, który dawał lekcje cudzoziemcom, z utalentowanego malarza i z młodzieńca-**turysty**, wy-

ślanego przez rodziców, jak sam się wyrażał, „dla kształcenia się w zapatrywaniu na rzeczy”. Ten zaś był z **nieodstępnym** (w tym sensie) guwernerem, iż się zwykle obydwaj szukali po mieście, wszędzie o sobie wzajem zapytując, i dopiero się w **Caffé-Greco** spotykali wieczorem.

Wiedzieć to wszystko i szczegóły bardziej osobiste można było prawie mimowolnie. Skutkiem albowiem pewnego rodzaju przezroczystości moralnego powietrza społecznego i skutkiem postaciowania się charakterów (dwóch rzeczy północnym miastom i ludziom mało znanych), zdarzało się nawet osobie obcej, która aby raz do kawiarni zaszła, rozeznawać z łatwością, nie tylko kto? w jakiej gałęzi prac i zachodów bierze udział, ale nawet i czym w obecności zaprzęta się?

Figura taka jak Redaktor znaną być wprawdzie mogła samym skutkiem swojego publicznego atrybutu, dopomagało jednak do rozeznania osoby jej ruchliwe spojrzenie, chętne wyrażanie i udzielanie się łatwym i grzecznym gestem, mniej chętne słowem, tudzież płowy parasol, coś do kardynalskiego podobny – i nareszcie skoro już zaczął mówić, poznawało się po stylu człowieka pióra. Jeżeli kto uwagę kiedy zwrócił na rodzaj świrdrów szklanych, obracanych przez ukryty mechanizm i do złudzenia naśladowujących bieg źródlanej wody; jeżeli widział takowe szkiełka obracane w paszczach lwów gipsowych obstawionych kwiatami i zielonością; i jeżeli wspomniał, jak liść żaden żadnego kwiatu nie czuje tam zbliżenia kropli wody ani jej chłodu i życia – tedy ma on zupełne wyobrażenie o Redaktora stylu i jego elokwencji. Czym zaś on jest zajęty w obecności?... to jużci że stosunkiem jakimś wyjątkowym, bo i staranniej niż zazwyczaj ubrany, i o nieregularnych godzinach do kawiarni na ulotne chwilki wstępował.

Śpiewak także, z płaszczykiem swym na rękę lub na jednym ramieniu, z pobrzmiwającą coś wargą pod zbyt układnym wąsem, i ze zwitkiem nut w rękę, nic nieczytelnego w swojej postaci nie przedstawował.

Mniej wyraźnym typem był guwerner (poszukiwany przez młodzieńca jemu poruczonego): w mówieniu szybki, ale nie w wymawianiu, seplunił nieco i parskał śliną, ilekroć w zapale się poczuwał. Byłby zaś o wiele przystępniejszym i jaśniejszym, gdyby nie przymiotnik „**scjentyficzny**”, nazbyt często przezeń używany. Niepłoch jednakże bierał się do pióra, ktoś albowiem, nie najdyskretniejszy lub bystro-wzroki, rok temu u niego przyjmowany, gdy z rozsypanego na arkuszu białym tytoniu wiał sobie cygaretko, wyczytał był dwa pierwsze słowa

tytułu i rękopismu: *Rzut-oka...* – a jeszcze i wczora tamże, i w podobnej okoliczności, nie więcej zdarzyło się mu wyczytać. Wiedziano jednakże, iż pracuje nad *Rzutem-oka*, ale co u człowieka zewsząd **scjentyficznego** dziwniej się przedstawiało, to że gdy nietrafnie pchnięta przezeń bilardowa kula wykolejała się z widoków jego, natychmiast całą wagę ciała swego przechylając w stronę kierunku zwycięzonego, gestem nogi, pięty i wzrokiem dopomagał, aby inaczej gonił ciężar... a co jest przecież równie bezskuteczne jak **nie-scjentyficzne**, będąc przeciw prawom grawitacji.

O rudobrodym w czarnych aksamitach rzeźbiarzu, który na teraz nieruchomie, jak stary wenecki portret, siaduje i udziału nie bierze w bilardowych zachodach i zapasach, wie się, iż ten dosyć ma całodziennego ruchu w ciągu wielkiej pracy swojej i z wielkim podjętej zapałem, aby jeszcze wieczorem rozrywkowych trudów poszukiwał. Zaś ażeby mieć naprzód pojęcie o skutecznym jakiego artysty dziele, nie potrzeba na to (w przeznaczonym Rzymie) być do poufnego temuż artyście koła zbliżonym. **Plac-Hiszpański** jest właśnie o niewiele kroków od **Caffé-Greco** – szerokie schody, we dwa skrzydła rozwierające się i podrywające na Monte Pincio, jak gdyby z bruku ogromny jaki bajeczny ptak chciał wzlecić i oczekuje tylko, aż się na piórach jego ludzie ugrupują...

Plac ten i te schody stanowiąc **forum** modelów, to odpoczywających, to oczekujących na zajęcie, wystarcza zbliżyć się do tych grup skulpturalnych, malarskich i dowcipnych, ażeby o każdego artysty doraznym zatrudnieniu wszystko usłyszeć. Tam się też wiedziało bardzo dobrze, że kolosalną grupę przedsięwziął rzeźbiarz, że dzieło to ma odbrzmiewać wewnętrznym ludzkości tragediom, że Eurypidesowego nastroju jest kompozycją, przedstawiającą dwoje postaci Chrześcijan rzuconych lwom za czasu Domicjana, a szczegóły te tak już w pogadankach upowszechnionymi spotykałeś, iż, bywało, zażyły kolega nie po imieniu na rzeźbiarza wołał, lecz „*ad leones!*”...

Przyjmował to i skulptor w sposób właściwy, podrywając nieco jedno skrzydło swojego szerokiego kapelusza i ramieniem prawym dodatkując znaczący gest, jakby rzeźbiarskiej gliny garść dorzucił, tak że zatrzymywała się charcica, pozierając mu bystro w oczy, aby zgadnąć, co życzy?

Pewnym rodzajem symbolu magicznego stawało się dzieło artysty, zaledwo mające wstąpić na świat, zaledwo rodzące się... Dziennik czytając w kawiarni, donoszący o tragicznym jakim zajściu w polityce,

obracano się nieraz ku rzeźbiarzowi, mówiąc ze stosownym przyciśnięciem: „*ad leones!*” A na co on z konspiracyjną dwuznacznością przez zmrużenie lewego oka odpowiadał.

I jednakowoż, mimo pozornej takiego to obyczaju krotchwili, piękne jest (a północnym chłodnym nie znane stronom), ile się i jak się uprzedzająco przyczynia dobra wola publiczności do uzupełnienia i wprowadzenia w życie dzieła sztuki. Lubo szczęśliwym ten tylko artysta, który trzeźwo wysłuchiwać, zrozumieć i przyjąć umiał tyle gościnne dla swojej pracy powitanie!

Że od mnóstwa lat jest przyjętym obyczajem posługiwać się ustalonym Kawiarni Greckiej adresem i tam odbierać listy swoje, przeto owdzie o rannej zaszedłszy godzinie, nieco zadziwiony byłem, widząc już rzeźbiarza i Redaktora. Miąć ich nawet chciałem, domniemywając, iż są wyjątkowym zaprzątnięci interesem, gdy wysłana po mnie charcica zmusiła mię, ażebym do pana jej i przyjaciela jego zbliżył się. Zbliżony zaś, skoro odebrałem uszne zaproszenie, abym na dzień i godzinę naznaczoną znalazł się w pracowni mistrza dla jej nawiedzenia, rzekłem:

– Nie jestem tak bardzo profanem, ażebym mniemał, iż pokazać nam zechcecie dzieło już ukończone!... lecz myślę, iż dojść mogło do jednego z periodów interesujących, kiedy artysta ogół myśli uwidomił i ustatecznił – lubo nie bez przyczyny utrzymują biegli, że sztukmistrz do końca zachować winien możliwość zupełnego swej kompozycji odmienienia, i że taka właśnie, i dlatego, ruch, obrót i życie miewa...

Redaktor z wielką szybkością treść tę popierać i rozwijać zaczął, a lubo notując coś ołówkiem, jednak baczenie się w rozmowie utrzymywał; potem, dla grzeczności, zapytał naraz z rzeźbiarzem, czy nie zechciałbym z mej strony im powiedzieć, nad czym pracuję?...

– Niezbyt wielki – rzekłem – mój udział w rzeczach sztuki nie pozwala mi, ażebym mógł czym bardzo popisywać się. Za szczerą jednakże szczerością zamieniając, wyznam, iż niemało w tych czasach bywam zajęty wykonaniem dwóch głów... Skoro się mówi : „**dwóch głów**”, znaczy zarazem i tego, co się im dla ich zupełności i ruchu należy, lubo cały i główny interes' kompozycji we dwóch tylko głowach zawiera się. Zadaniem albowiem jest: ażeby jedna podnosiła oczy ku niebu, druga zaś podnosiła oczy patrząc czy to na plafon-sufitu, czy to na hak, gdzie okrągły świecznik umieszcza się. Tej i tamtej oczy zwrócone są w górę – – – Nie taję, iż mię praca ta dość umęczyła nieraz!

Rzeźbiarz podparł całe czoło silną swą ręką, tak iż charcica, u nóg leżąca pierwaj, podniosła się i poczęła wejrzeń swego pana poszukiwać – Redaktor robił ołówkiem kreski na marmurze stołu – ja, uprzejmiem pożegnawszy obu, wyszedłem, zaledwo na jedną chwilkę we drzwiach wstrzymany przez młodego turystę, który o gubernera swego zapytywał.

Nie bardzo wiele jednak uczyniwszy kroków, spotkałem na Scho-dach-Hiszpańskich gubernera i oświecony zostałem, że zaproszenie do pracowni rzeźbiarza bynajmniej mnie jako fawor wyłączny nie spotkało – że wszyscy znajomi i znani tak samo oczekiwanyimi będą, idzie albowiem o ustatecznienie nieodmienne moralnego sensu grupy i atrybutów figurom właściwych. Nadto, że Redaktor swoimi wpływami tej pięknej dopiął rzeczy, iż bogaty korespondent wielkiego amerykańskiego dziennika skłania się ku zamówieniu u rzeźbiarza grupy wiadomej, chcąc ją zakupić i do Ameryki przesłać, jeżeli tak kompozycja jak egzekucja odpowiedzą życzeniom kupującego i jego wyobraźni.

Dzień nawiedzenia rzeźbiarskiej pracowni skoro w swej pełni nad-szedł, znalazłem się wśród znanych osób i wśród zajmującego widoku.

Od czterech kątów wielkiej sali wprawdzie nieład i nieporuszany kurz dawały ogółowi ramy fantastyczne – lecz kurz na doskonale gipsy upadły podnosi tylko i bardziej uczytelnia harmonię umiejętnej plastyki. Nieład zaś, który sam oku się tłumaczy, nie tyle nieporządkiem, ile raczej dramą się zwać godzi. W pośrodku światła miejscowego i pracowni stała i ciążyła wielka masa wilgotnej gliny-rzeźbiarskiej, stanowiąca zaczęłą grupę, a którą z resztki mokrych płócien właśnie artysta odkrywał...

Towarzyszyły tej robocie nieskapo zaliczane naprzód: „bravo ! bravo !”... ilekroć odjęta szmata dawała oglądać to ramię trafnie w glinie naznaczone, to biodra, to główne fałdy szat. Męska postać obiecywała bardzo piękny tors, dziewczica – dramatyczny obrót figury; obie postacie egzaltowały znaki krzyża na sposób *pro-Christo* nakreślonego; lew, który zapewne miał się osłupiony słać u nóg tych figur, zaledwo był bryłą, podobną do jakiego sprzętu, co tym więcej nadawało pozorowi wykończenia częściom grupy dalej posuniętych.

– *Ad leones! ad leones!* – wołał młody turysta.

A poskoczywszy do najciemniejszego kąta pracowni u drzwi samych, spoza wielkiej figury dionizjackiej wyprowadził małego chłopca

z serwetą na ramieniu i z koszem wina, co wraz użytym gdy zostało, zwiększyło przyklaski.

Sam rzeźbiarz nabrał tonu nieco, jak należało było, wyzywającego świat do walki...

Guwerner, pomiędzy biusty na ziemi stojącymi wskazując mu najbliższy, rzecze:

– Oto, zda mi się, Domicjan!...

– Pan się nie mylisz – rzeźbiarz na to, i kopnięciem nogi odbił nos imperatorowi, aż charcica, która leżała była pierwaj jak gryf odlany z brązu, podniosła się, powąchała odłamy gipsu rozbitego i powróciła ułożyć się w też same monumentalne formy i spokojność.

Śpiewak piękny, zarzuciwszy udatnie płaszczyk, począł swoim wybitnym barytonem nucić zrazu, a potem na całe tchnienie śpiewać:

Drżycie, tyrany świata,
Lud podniósł sądny głos,
Straszny uderzy cios...
Piorun już z chmury złata...
-taram tata rata...
Drżycie, tyrany świata!...

Ku czemu młody turysta i malarz wtórowali jeszcze:

– ramta tarata tata!...
Drżycie, tyrany świata...

Nastąpiło po tych uniesieniach psychologiczno-konieczne uciszenie, za ledwo oderwaną wzmianką malarza przetrącone, który rzekł:

– I mnie w tych czasach zdarzyło się coś zrobić, z czego mogę być zadowolonym, ale będę się musiał u czytanych ludzi zapytać, co to jest? co to z tego będzie?... bo to może być **Kleopatra**?... a może **Wniebowzięcie**.

Uciszenie skoro do swojej pełni doszło, i gdy wszyscy się spokojnie na siedzeniach swoich znaleźli, Redaktor w sposób następujący do rzeźbiarza pierworzędnie, lecz zarazem i do gości, przemówił:

– Tu nikt z nas myśli innej nie ma, albo, zastanowiwszy się nieco, nie będzie miał innej; tylko ażeby dzieło genialnego naszego przyjaciela i mistrza przyszłość zapewniłą sobie znalazło. Czyli że końcem końców wydatki i nakłady są nie tylko niemałe, lecz będą się z postępem zwiększały...

Tu wszyscy, na rozmaity sposób głową wzruszywszy potwierdzalnie, słuchali dalszego ciągu.

– Otóż, trafiającym się fortunnie mecenasem w tej sprawie być by mógł lub nieledwie że jest bogaty korespondent wielkiego amerykańskiego monitora. Osoba ta jaką wyznaje religię? (a których w Stanach Zjednoczonych jest kilkadziesiąt), tego gdy nie wiemy, byłoby roztropnie, może nawet byłoby i estetycznie; odjąć **krzyże** z rąk figur? Na cóż koniecznie ten znak martwy, którego uczucie w całości rzeczy i tak jest rozlanym? a dla którego obecności nabywca (dajmy na to **mojżeszowego-wyznania**) nie będzie mógł w parku swoim przed domem grupy postawić, i od kupna się cofnie...

Rzeźbiarz uwagę zrobił, iż te krzyże załamują stosownie bieg głównych linii, lecz, bukszpanowym szerokim dłutem bawiąc się, wejrzał na wszystkich pilnie, jakby ogólnego uczucia poszukiwał, a że stałem najbliżej, do mnie z pytającym gestem się obrócił.

– Co do mnie – rzekłem – myślę o tym, iż **ujęcie ręką krzyża** jest ze znanych dotąd najtrudniejszym choreograficznym i plastycznym zadaniem – PALEC DOTYKA SYMBOLU – to nie może być ani zręczne i wykwintne, ani niezgrabne – ani grożące, ani bez znaczenia – ani łatwe, ani przysadne – ani proste, ani przemyślnie... ani piękne, ani niepiękne!... Nic trudniejszego nie znam! I artysta, który to robi, potrafi wszelką kompozycję zrobić...

Tak rzekłem, mało bacznym, iż ta uwaga moja otrzymała właśnie nie zamierzany przeze mnie skutek, albowiem naraz Redaktor i malarz zawołali: „To więc jedna wielka trudność mniej!”... – gdy rzeźbiarz, półgłosem to samo powtórzywszy, wbiegł na schodki wyrównywające grupie, a przy niej utwierdzone, i dwoma zacięciami bukszpanowego narzędzia odjął krzyż z ujęcia figury męskiej – po czym nad ręką żeńskiej figury zatrzymał cios, ku czemu zawołał guwerner:

– Jeżeli dla załamania lino należy coś **wetknąć** w ręce kobiety, to tu prawie sejentyficznie godziłoby się nadmienić, iż do Semitów, a przez onych do Chrześcijan, przeszedł był obyczaj jeszcze chaldejski i egipski, który zalecał dawanie w rękę **klucza** osobom ważne rzeczy uczytelniającym lub zwiastującym (czego zasię ślady są i w Ewangeliach: klucze św. Piotra, i w *Apokalipsie*).

Rzeźbiarz, rękę mając na czas tej mowy zatrzymaną, opuścił z narzędziem na krzyż drugi i kilkoma biegłymi ruchy naznaczył ogólne kształty klucza.

Działo się to jakoś magicznie, przez ogólny nakłon pojęć i uczuć, a zupełny brak rozumowanej protestacji. Jednakowoż gdy rzeźbiarz z ostatniego zstępował schodka, zawoła nagle, do Redaktora się zbliżając:

– Ależ to tym sposobem i z tychże względów cała scena chrześcijańska musiałaby odmienić się?!!...

Redaktor, biorąc ku sobie, jakby na świadki, guwenera, z uśmiechem i niecierpliwością rzecze:

– Czy ta grupa jest dziełem historycznym?... czy za Domicjana, nie zaś za Nerona, ta scena dzieje się? czy to są **portrety** męczennika X i męczennicy X?... jużci że nie! – toć nie idzie o osobistości, lecz o dramę.

Ku czemu guwener doda:

– Jeden scjentyficzniejszy **rzut oka** zdolny jest wszystko wytłumaczyć: to mogą być wcale nie Chrześcijanie rzucający lwom – to może przedstawiać właśnie że walkę, właśnie że poświęcenie, właśnie że zasługę! Właśnie że to wszystko, czego artysta tak wdzięcznie w tej pracy poszukiwał, co uprawia, i na co publiczność oczekuje.

Zapluty nieco mówca otarł usta, gdy rzeźbiarz ścisnął ręce obu, atoli śpiewak, młody turysta i malarz, zwyczaj mając unikania wszelkich dyskusji (jako rzeczy próżno głowę kłopotających), cofnęli się z pracowni cicho i grzecznie.

Charcica, która wychodzących ze zwykłym jej i miejscu odprowadzała ceremoniałem, dała się nagle słyszeć w korytarzu srebrnym dźwiękiem szczekania... Rzeźbiarz rzucił znak Redaktorowi i nam, że odczytuje z głosu psa, o co idzie?...

A wtem otworzyły się drzwi i wszedł jegomość miernego wzrostu, w niskim kapeluszu szarym i w szarym ubiorze bardzo świeżym, w białej arcystarannej chustce i kamizelce, spod której gruby złoty łańcuch rzucał na brzuch kluczyki i pieczętki z drogich kamieni. Był to Amerykanin, korespondent wielkiego **monitora** Stanów Zjednoczonych.

Pozdrowił Redaktora po koleżeńsku, zamienił z rzeźbiarzem ukłony i, komplementu gest względem nas wypełniwszy, prosto do grupy zbliżył się. Chwilkę patrzył szarym i głębokim okiem, odgarniając na tył głowy kapelusz z czoła i obejmując, i gładząc rudawą brodę, która przy ogolonych wąsach tym bujniejszą się wydawała.

– Życzę mieć szczegółowe wytłumaczenie figur – rzekł do Redaktora i rzeźbiarza, który naraz półkrokiem się w tył cofnął, ażeby pierwszego głosu nie zabierać.

– Jest to... (jako się nadmieniło było) – rzekł Redaktor – jest to patetyczna scena z tragedii życia człowieka... mężczyzna wyobraża tę energię czynu, która pracę poczyna... kobieta swój udział w niej zaleca...

– I ona – Amerykanin przerwie – zdaje się, że klucz trzyma w ręku, gdy niżej widzę – i tu wskazał bryłę gliny na lwa przeznaczoną – widzę **kufier**... to więc kobieta wyobraża Oszczędność?... Mężczyzny energia zapowiada być bardzo piękną i stosowną! – Mnie się wydaje, że przy kufrze należałoby dać widzieć narzędzia rolnicze i rękodzielne... Tak, jak jest, bryła niższa więcej wygląda na jakie śpiące zwierzę niż na szkatułę!...

Rzeźbiarz, zbliżywszy się do grupy, naznaczył kształt sierpa i dwa boki kufra, gdy Amerykanin, raz jeszcze oszczędzszy dokoła całość rzeczy, zawoła:

– Jaśniej okazanej i piękniejszej myśli dawno nie napotkałem.... Grupa wyobraża KAPITALIZSCJĘ w sposób i wyrozumowany, i przystępny... Na dzień obecny, stosownie do stopnia, do którego posunięta jest praca, mniemam, że będzie wystarczającym, gdy kolega Redaktor zechce na mojej karcie nakreślić...

Tu oddał swą kartę Redaktorowi, zabierającemu się skrzętnie do pisania, i dalej mówił:

– co następuje:

*Izaak Edgar Midlebank-junior u dostojnego Rzeźbiarza*** zamawia grupę przedstawiają Kapitalizację, a która ma być z marmuru białego, bez plamy i skazy, wykonaną – i nie o wiele przechodzić ceną swoją 13000 dolarów.*

– Czy tak jest godziwym? – zapytał Amerykanin, ku czemu rzeźbiarz swoją kartę Redaktorowi nasunął, a ten skreślił:

*Rzeźbiarz*** podejmuje się wykonać grupę (Kapitalizację) z marmuru białego, o ile można bez plamy i skazy – nie przechodzącą o wiele ceną swoją 73000 lirów, i na rozkaz; dostojnego Izaaka Edgara Midlebank (junior) etc., etc.*

Po czym Amerykanin, pisma oba przez szkiełko uważywszy, życzył dołożyć daty pominięte, a gdy się to spełniło, zamienił karty, mówiąc:

– Jest wszystko, jak należy!... bardzo winszuję panu takiego pięknego talentu – tu dodał uścisk ręki – i takiej pięknej sukii!... Cóż za prześliczne zwierzę! cóż za rasa!... Z pewnością można rzec, że takiej sukii, takiegoż rodzaju, nie ma drugiej w całym mieście!...

A to gdy mówił, skłonił się i począł mieć się ku drzwiom.

Co rychlej zatem rzeźbiarz ręką jedną wprawnie porzucił płótna mokre na „**Kapitalizację**”, drugą zaś kapelusz uchwyciwszy, śpieszył za Redaktorem i guwernerem, komplementującymi tymczasem odchodzącego gościa, którego czekał skromny powóz, by niebawem gdzie indziej umieść.

Serce miałem obrzmiałe i ciężkie, ducha czułem poniżonego... powiew jakiś, czy jęk, Hiobowym nastrojem szemrał mi w ucho: „Tak to więc wszystko, na tym słusznie przeklętym świecie, wszystko, co się poczyna z dziewiczego natchnienia myśli, musi tu być sprzedanym za 6 dolarów!... (30 SREBRNIKÓW!)”

I jakkolwiek obiecywałem sobie nic wcale nie powiedzieć – nic dodać, nic nie powtórzyć, jednakowoż, przenieść na sobie nie mogąc całego ciężaru moralnego, rzekłem do Redaktora:

– Jak to jednak daleko od wyznawców, i **dla wyznania**, lwom rzuconych do **Kapitalizacji**!...

On zaś, giętkie okulary poprawując, począł coś parasola ostrzem kreślić na bruku i, nie podnosząc oczu, odrzekł:

– Redakcja nie jest **telefonem**. My podobnież przecie czynimy co dzień z każdą nieledwie myślą i z każdym uczuciem... REDAKCJA JEST REDUKCJĄ...

– **To tak, jak sumienie jest sumieniem** – odpowiedziałem.

MENEGO. WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKA

Bajki wam niosę, posłuchajcie, dzieci!

Krasicki

Było to 1843 wiosny na **Riva degli Schiavoni**, albo, jak jeszcze jeden nie zatarty napis się wyraża, na **Riva degli Slavi**; na tym długim wrębie granitowym, zielonymi poprzerywanym kanałami i białymi mostami pospajany, gdzie kilka tysięcy okrętów przystań miewa. Tam, o jutrzni we mgłach, odpływają małe statki rybackie z trójkątnymi żaglami **latyńskimi**, na których z bizancką surowością nakreślony bywa Marek święty, albo Piotr, albo Paweł, albo inny apostoł, i czyni wrażenie, że zszedł z **rivy** i odchodzi po falach... Tam, o południowym świetle, widzisz tajemnice kolorów **Veronesa**, **Tintoretta**, **Tycjana**... Turcy, Grecy, Ormianie i Słowianie różni, w strojach różnych, z różnym się akcentem przechadzają, na okręty swe patrząc. Tam, o blasku księżyca, znikają okręty w taroku wielkim, a gdzie światło miesięczne wysrebrzyło fale, lśniący topór, u gondoli dzioba przytwierdzony, profilem zębatym się określa, potem wioślarz półnagi we frygijskiej czapce, potem budka kirem kryta z szybą kryształową, a potem znów drugi kształt wioślarza, a potem blask fali, skrzela wiosła odepchniętej w światłość księżycową... i tak tam gondole przepływają.

Tam to w 1843 roku przechadzał się **B.** ze mną, o Pałacu Dożów i o sztuki w nim złożonych skarbach rozmawiając; wątpił, aby Ganimed w Jowiszowych szponach uniesiony był utworem Fidiasza, i zrażał słusność... Potem, gdyśmy schodzili z ostatniego już mostku ku Piazzetta, zwrócił moją uwagę na bogactwo inwencji kapitelów, które podpierają Pałac Dożów, i jeliśmy wszystkie po kolei szczegółowo oglądać... Co może być ta postać z wędniejących liści wychylona, której profil złotawy na sklepienia ciemność tak wybiega?... albo owa w hełmie?... albo tamta, kibici wygięciem nie bez trudu wypowijająca się z kamienia... Miałżeby architekt je wykreślać, albo rzeźbiarz sam tworzył co dzień, wedle natchnienia: tam o niebie myśląc, tam o ziemi, tam o obywatelu w Rzeczypospolitej znanym, owdzie o Adamie i Ewie, a owdzie o patronie swoim i żony swojej, lub o wielkim kupcu, co przy-

jechał z dalekiego Wschodu na okręcie pełnym drzewa wonnego i drzewa farbiarskiego, i drogich kamieni na pieczęcie dla senatu Rzeczypospolitej, i zielonych papug dla pańienek...

– Ja też to podobnie bym rozumiał – **B.** mi na to odpowie – zwłaszcza iż dawniejsi architekci nie kreślili tak planów **szczegółowych**; czego przykład widzimy w złamkach planów rzymskich w Kapitolu, powmurowywanych dzisiaj w ścianę. Te plany są prostsze od najprostszych figur geometrycznych.

– Tę nieumiejętność – odpowiedziałem na to – usprawiedliwia poniekąd Panteon, Koloseum, Fortuna Virilis, Vesta, Świątynia Pokoju itd.

B. uśmiechnął się smutnie. I mówiłem dalej:

– Gdyby kiedyś znaleziono te plany pokolorowane elegancko, których dzisiaj pełno na wystawach, trzeba by stu nowych Witruwiuszów i sto razy śmielszych w przypuszczaniu, ażeby współczesnym dać pojęcie, jakich to pomników śladu nawet nie zostało na ziemi! Tylko, widzisz, nic tu nie zginęło, co **prawdziwie piękne**, bo to ma w sobie nieśmiertelności iskrę, miłość! Trzeba gmachu pięknego, ażeby mógł piękną być ruiną. Trzeba pięknej ruiny, ażeby dotrwała aż do końca, aż do posad budowy i pierwszego planu rozłożenia, aż do głazu pierwszego, na którym legendy siadać będą w ciężkich wieńcach bluszczowych, aż do głębi pod głazem, gdzie medale stare w wazach leżą i pargamin żółty z opisaniem pierwotnego pomysłu! *Roma, quanta fuit, ipsa ruina docet.*

– Więc nic, myślisz, nie ginie ?

– Nic, co jest w miłości poczętego.

B. uśmiechnął się znowu. Tu wchodziliśmy na plac, a był zmierzch, i dokoła pod obiegającym czworobok placu korytarzem zaczynało być gwarno i porożświecały się kawiarnie, i czekano muzyki przez wojskową kapelę, z Czechów zwykle złożoną, wykonywanej tu w wieczór. **B.** mi wskazał kawiarnię, do której zachodzić już przywyknął, jakby Wenecjaninem się urodził.

Tam weszliśmy. Kilka było osób, bo kawiarnia podrzędna. Grek w kaftanie czerwonym i Żyd, zda się, wschodni, w szachy grali; Wenecjanin list pisał...

– Ten chłopiec zna mnie, przyjdzie zaraz, nazywa się Dominik – i tu zawołał **B.**: „**Menego!**” (co w weneckim skróceniu ma niby oznaczać **Domenico**).

Przyniesiono nam kawy i złych cygar weneckich.

B. miał około lat sześćdziesiąt. Był naprzód w drezdeńskiej akademii, gdzie z niewielkim geniuszem, lecz z miłością sztuki szczególniejszą, wielkie zrobił postępy w stosunku do tego, co mógł zrobić i co mu okoliczności pozwalały. Tam wykonał on obraz przedstawiający Czary starożytnych germańskich wieszczek, i rysunków wiele różnej treści. Potem w Monachium pracował; wszędzie z trudem wielkim, i po dziesięć lat, i w walce z przeciwnościami zabójczymi... Wszędzie, co artystów naszych **wadą**, albo raczej **wina**, wszędzie łatwo miejscowym tradycjom się poddawał, z posłuszeństwem słowiańskim szkole każdej. Był to wzór cierpliwości, zaparcia się, pokory-**wykonywanej** sprawiedliwiej aniżeli pojętej. Właśnie o tym myślałem, kiedy mi **B.** przerwał:

– To rzecz dziwna! nie mogę tu jeszcze dojść ładu z wyrozumieniem tych arcydzieł starej szkoły weneckiej. Zaniedbanie rysunku, którego by **Cornelius** nie przebaczył, dowolność w grze światła szczególniejsza, kompozycja jakby z ulic brana, a jednakże wielkie to są rzeczy! i niejednen **Cornelius**, ba! i zarozumiały sam **Kaulbach**, uczyć by się z tego dobrze mogli. Kto wie? – dodał w następstwie – może nas na Północy uczą jakoś inaczej. Przypominam sobie, że w kościele świętego Ludwika (w Monachium), kiedy *Sąd ostateczny* przy **Corneliusie** malowałem, i właśnie się grupę tę robiło, gdzie wyobrazenie jest Heroda (gdy wyróżnione dzieci proszą za nim), imperator moskiewski otoczony świtą wszedł do gmachu, bo podówczas bawił w mieście onym i oglądał czasem dzieła sztuki. Więc nam wszystkim potem myśl przebiegła o tych starych malarzach, co to prosto z życia wzory brali, i co to się zwykle o tym czyta jakby jakie legendy... A teraz tu widzę, że podobno wszystkie stare obrazy to tak są o życie zaczepione...

– I nad czymże pracujesz pod te czasy?

– Ba! – pomruknał **B.** smutno – gram ot czasem na skrzypcach... i przyjdź kiedy, zagram ci wieczorem... zdaje mi się, że coś skomponowałem.

Jakoż rzeczywiście **B.** na skrzypcach grał z biegłością szczególną.

– Albo nie – przerwał nagle – bo nie sam tu jestem. Mnie tu państwo Hr. do Włoch zabrali. Zacząłem też także mały obraz, gdzie rybak chce zrobić z dziećmi swymi, i chce, żeby był wieczór, i żeby było widać, iż pracował dzień cały, i chce, aby rybak w rękę trzymał ułowioną rzecz jedną... muszlę pustą! I chce, aby z tą muszlą, wyciągając rękę, zebrał sobie. Taki obraz robię, i już bliski, bliski swego skończenia.

Tu się B. z krzesła podniósł i zawołał: „**Menego!**” – ale że nie weneckim iloczasem, lecz po polsku **me-nego** przedłużając, więc podchwycił chłopiec: „Jak to, panie? jak to, **topisz się**, panie... (bo *me nego* – „topię się” w weneckim znaczy dialekcie), jak to? – jeszcze powtórzył – a wszakże dziś gondole po kościele Świętego Marka nie pływały i suchutko w kawiarni.”

– *Buffone* – odrzekł **B.** – *Buffone!* – i wyszliśmy z kawiarni...

Na drugi dzień wieczorem taki list mi z miasta przyniesiono:

Państwo Hrab. zamiary odmienili; wkrótce mamy wyjeżdżać, jutro może wieczorem; nie wiem pewno, ale może być jutro. Wszystko też już zwiedziłem (!) prócz tej wyspy długiej od południa, którą to tak z okna Twego widać, i o której to mówisz, że tam lord Byron konno jeżdżąc opisywał Mazepę, bo nie wiem, jak wyspa się nazywa. Jeśli czasu mi zbędzie, to gondolką sobie tam dopłynę. Chciałbym też Cię pożegnać, wstąpię może; a nie, to na wyspę często robisz wycieczki: czemu nie miałbyś jutro, niżli słońce zapieczę, tam popłynąć? Żegnam...

Byczkowski

NB. Pakując się chustkę też znalazłem, którą w pierwszych czasach emigracji w Dreźnie wielki nasz lord Byron mi darował. To jest jedno, co mogę na pamiątkę zostawić. Żaluję, że nie grał Ci na skrzypcach...

Niżli słońce zapiekło, popłynąłem na Lido dnia wtórego. Lido jest to długie pasmo ziemi, o które się płasko z jednej strony pełne morze rozbija; z drugiej sztuczne wybrzeże z ciosanego kamienia odpiera mniej silne fale lagun. Ażeby do brzegu dojść morskiego, a zwłaszcza tam, gdzie zwykle cudzoziemcy oglądać widok idą, trzeba pierwiej przez łąkę przejść zieloną, która, kiedyś smętarem możnych kupców żydowskich za Rzeczypospolitej jeszcze będąc, do dziś świeci gdzie-niegdzie pozacieranymi kamieniami. Po nich ścieżka się łamie, albo je wymija, w trawie naprzód, a potem w nadmorskian żwirze ginąc. Tam doszedłszy, spotkałem gondoliera; stał nad garstką bielizny; przy nim sługa z policji i dwie damy Angielki z albumami. **B.**, zapłaciwszy gondoliera, powiedział mu, że użyć chce kąpieli... **ale za głęboko w fale zaszedł.**

Grób jego jest na Lido.

CZARNE KWIATY

...Można by ciekawe w tym względzie rzeczy tu zapisać, ale zaraz wstręt cofa pióro i przychodzi na myśl zapytanie: „**czy warto!**...” Przy pojęciach albowiem współczesnych o czytelnictwie i o twórczości piśmiennej zatracane jest prawie uczucie, kiedy **pisarz stara się uniknąć stylu** przez uszanowanie dla rzeczy opisywanej a z siebie samej zupełnej i zajmującej, **kiedy zaś, przeciwnie, nie dopracowawszy formy, styl zaniedbuje...** Kiedy chodzi po ziemi, okazując, jak nisko zstąpić potrafił? – kiedy zaś również nisko stąpa, przeto iż wznieść się wyżej nie mógł? Te rozróżniać odcienia, tak dla pewnych osób jednoznacznie, rzadki bardzo czytelnik dziś potrafi, i dlatego niebezpiecznie jest w jakąkolwiek nową drogę na cal jeden postąpić, i dlatego najbezpieczniej jest w kółko jedne i te same motywa i formy proporcjonować tylko, nic nie wznowiwszy ani dodawszy, ani na uic się nie odważywszy.

Są wszelako **w księdze żywota i wiedzy** ustępy takie, dla których formuł stylu nie ma, i to właśnie sztuka jest niemała oddać je i zbliżyć takimi, jakimi są. Mają one pozostać zamkniętymi osobistymi nabytkami przez obawę rubasznego krytyka, przywykłego do dwóch tylko formuł na wszelki plód wyciętych, jako obowiązujące malarzy pokojowych wycięte patrony...

Pierwszą z tych formuł jest jakiś książkowy klasycyzm, o którym Grek Peryklejski ani Rzymianin za Caesara czasów bynajmniej nie wiedział; drugą – pewne formuły czasowe dziennikarskie, to jest proste techniczne wypadki z rozwinięcia druku samego powstałe. Jedna z tych ram wszystko objąć jest w stanie mniej łącznością pomiędzy książką a żywotem, druga – wszystko mniej istotą źródeł, z których ono wszystko płynie.

Stąd to: niezawodnie snadniej dziś upowszechni się **udany pamiętnik średniowieczny**, niż fakt społeczny, sumienie obowiązujący, należny mu wpływ wywrze i należną zachowa powagę. Jakoż – czytelnicy podobni są w tym do osoby oddalonej od przyjaciela swego, a mającej wizerunek jego na pamiętkę, która, gdy on przyjaciel z drogi wraca: „Nie przeszkadzajże mi”, rzecze jemu, „bowiem oto godzina jest, w której na portret patrzeć zwykłam, listy właśnie że pisać mając”.

*

...To – pamiętam, jednego razu w Rzymie z katakomb powracałem, gdzie często patrzeć lubiłem na pozostałe freski pierwo-chrześcijańskie – rzecz, o której tu napocząć nie chcę, bo to byłaby historia bardzo długa, o każdym znaku i o każdej linii w tych rysunkach używanej – ale tyle tylko oto wspomnę, iż to ogromne podziemne miasto z napisami i rysunkami swymi okazało mi, jako przez całe akta dramatu tego seraficznie-krwawego nie była prawie jedna kropelka krwi wylana bez uszanowania jej i omodlenia braterskiego współwyznawców. Te szkła, dziś błękitno-krzemiennej barwy, które jako ampułki rozbite (albo i całe) w katakombowych sarkofagach, do półek biblioteki podobnych, tu i owdzie leżą, błogie robią wrażenie, świadcząc, jako zbierano rozpryśniętą po ścianach katowni i schodach gmachów publicznych krew męczeńską. Tak ją szafowano szeroko i wspaniale, jako owczarni krew bogaty pan szafować może – a tak skąpi jej byli!!

.....

...To około tego czasu spotkałem był zstępującego ze Schodów Hiszpańskich, pochylonego jako starca i kijem pomagającego chodowi swemu Stefana Witwickiego: śliczna, młodości jakiejś wiecznej pełna twarz jego i włosy, jak z hebanu mistrzowsko wyrzeźbane ornamentacje, w grubych partiach na ramiona spływające, szczególnie wyglądały przy tym sposobie wleczenia się o kiju, bardzo zgrzybiałym starcom jedynie właściwym. Niedługo potem odwiedziłem go był w mieszkaniu jego, ale już to zaszło przed śmiercią jego na jaki tydzień. Leżał ubrany jak zwykle na kanapie, męczyło go mówienie, spoglądał tym samym wzrokiem, niezwykłą zawsze jasność i zarazem kroplę łzy mającym w sobie – tudzież podnosił się niekiedy, podając rękę komu, aby go przeprowadził po pokoju. Tak to spojrzawszy ku mnie, wchodzącemu doń, przywitał mnie, a wyciągnawszy rękę posunął mi po ziemi leżącą przy kanapie pomarańczę, którą (że zwyczaj miał mnie i Gabrielowi Roźnieckiemu [Mowa jest o Gabrielu Różnieckim, muzyku.], jak mu się co w pracach naszych podobało, przynosić cygara i fraszki jakie) uprzejmie przyjąłem i podniosłem. Gabriel właśnie że był tam, bo on do ostatniej chwili całe noce przy ś.p. Stefanie, już zupełnie zdefigurowanym ospą, siadywał, usługi wszelkie mu oddając. Otóż Stefan Witwicki dał zrozumieć Gabrielowi, że chce z kanapy wstać, a ten mu rękę podał i zaczęli wkoło pokoju powoli obchodzić... Tak to włokąc się, po

pierwszy raz Witwicki wpadł w lekki, bardzo błogi, ale widzialny obłąd – i zaczął tu i owdzie wskazywać ręką i zatrzymywać się:

– ...**A to (mówił) co to za kwiat jest?... ten kwiat, proszę cię (a nie było kwiatów w mieszkaniu), jak to się nazywa ten kwiat u nas?... to tego pełno jest w Polsce... i te kwiaty... i tamte także kwiaty... to jakoś u nas zwyczajnie nazywają...**

Potem – już odwiedzałem Witwickiego, kiedy leżał zdefigurowany panującą podbwezas ospą i już nic nie mógł mówić. Niewiele przed śmiercią Witwickiego zmarł generał Klicki, całe dni i noce otaczany nieledwie zbiorem wszystkich Polek i Polaków podówczas tam bawiących, co wspomnienie zostawia równo szacowne i rzadkie.

Ile razy przypominam sobie ostatnie rozmowy z osobami, co już w niewidzialny świat odeszły, zmarłszy tu, tyle razy nie wiem, jak pominać to, co ze zbioru razem wspomnień tych samo czasem zdaje się określać, i dlatego właśnie w **daguerotyp** raczej pióro zamieniam, aby wierności nie uchybić – inaczej przyszłoby mi bowiem zacytować słowa jedyne Voltaire'a, jakie kiedykolwiek na myśl mi przychodzą lub przychodziły z autora tego, a te są:

Je tremble!... car ce que je vais dire
Ressemble a un systeme.
(*Voltaire*)

Może też to najfilozoficzniejszy filozofa tego apoftegmat.

To – później – później – w Paryżu **Fryderyk Chopin** mieszkał przy ulicy Chaillot, co, od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze, mieszkania ma z oknami na ogrody i Panteonu kupolę, i cały Paryż... jedyny punkt, z którego napotyka się widoki **cokolwiek zbliżone** do tych, które w Rzymie napotykasz. Takie też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim, którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwinny – do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne – ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po schodach i do Bulońskiego Lasku jeździł, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł.

Tak jadałem z nim i wyjeżdżałem po wielekroć, i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał wtedy, po drodze wstąpiliśmy, nie

wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił...

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze, jak się ma i że siostra jego z Polski przybyła. Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem – służąca Francuzka powiada mi: że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem.

Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną, mówiąc: iż Chopin, dowiedziawszy się, kto był, prosi mię – że jednym słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mię chciał, i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku, z narbrzmiałymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna... On, w cieniu głębokiego łóżka z firankami, na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo, tak jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej – albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragediach francuskich, które lubo nic są do starożytnego świata przez ich teoretyczną oglądę niepodobne, geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasyczyć... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem...

Owóz – przerywanym głosem, dla kaszlu i dawienia, wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem – potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem – potem z siostrą jego mówiłem – potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc zegnałem go, a on, ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „...**Wynoszę się!**...” – i począł kasłać, co ja, jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „...**Wynosisz się tak co rok... a przecież, chwała Bogu, oglądamy cię przy życiu.**”

A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa, rzekł: „**Mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme...**” To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem...

*

...Przed śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Ponthieu przy Elizejskich Polach, do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc pytał go, jak się Monsieur Jules ma?... Tam na najwyższym piętrze pokój był, ile można najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tym jednym tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody w szyby były lunami swymi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami tymi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok drugi maleńki był pokój – to sypialnia.

Było to więc jakoś około piątej godziny po południu, kiedy przedostatni raz byłem tam u Juliusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój, z zupy i pieczonej kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie podszarżane paletot i w amarantową spłowiałą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzuconą. I mówiliśmy tak o Rzymie, skąd właśnie że niezbyt dawno przybyłem do Paryża – o niektórych znajomych i przyjaciółach – o bracie mym Ludwiku, którego ś.p. Juliusz rzewnie kochał – o *Nieboskiej komedii*, którą wysoko bardzo cenił – o *Przedświcie*, który miał za piękne dzieciństwo... Także o sztuce, że wpadła w mechanizm – także o Chopinie (który żył jeszcze), a o którym Juliusz pokaszując rzekł mi: „**Parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego morybunda...**” – sam wszelako pierwiej od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego, umarłszy.

Do pokoiku tego, który, jak Juliusz mawiał: „zupełnie byłby dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to, że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowanym” – do tego, mówię, pokoiku innego dnia wieczorem wszedłem był, a Juliusz stał przy kominie, fajkę na cybuchu długim paląc, jak to używa się w Polsce na wsi; na kanapie siedział malarz Francuz (którego Juliusz potem egzekutorem testamentu swego zrobił), ale ten nie mówił i milczał

milczeniem mało naturalnym, i siedział. Nad kominkiem wisiał brązowy medal Juliusza przedstawiający, który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francji, o rewolucji, o rzymskich wypadkach mówiliśmy; on – naturalnym, ale kolorowanym słowem, i niespodziewanymi obrotami mowy, i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota, głębię apostrof filozoficznych w *Marii* Malczewskiego napotykanym przypominającym. Co wszelako nie zawsze z wielkimi jego, czarnymi, ognia pełnymi oczyma, i z orientalną skronią, i z otworami energicznymi nosa orlego sprzymierzało się... Pod koniec rozmowy mówił mi: „Piersi, piersi nadwreżone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi”

Wyraźnie mi to mówił, bawiąc się cybuchem fajki swojej, tam i owdzie powoli poruszającym jak wahadło zegaru ściennego. –

W następującym tygodniu pośpieszyłem znowu zająć do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (można by rzec : z **uczniów** jego), który odeń powracał, a było już ciemno – i ten powiedział mi: „Jutro lepiej zajdź do Juliusza, bo dziś właśnie dlatego wyszedłem od niego, iż nieswój jest...” – „Jakże się zna ?” – pytałem. – „Nie wiem – odpowiedział mi – ale tyle ci tylko powiem, iż, wedle słów Juliusza, bardzo wątpi o zdrowiu swym i zawzywał już dzisiaj pomocy i opieki ś. Michała Archanioła, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy” Te słowa usłyszawszy (lubo bez dwuznacznego zadziwienia, bo wiedziałem, że Słowacki bardzo religijny był), na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem.

Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o rannej godzinie było i było to tak, że wszedłszy pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzony (list od matki swej, nadeszły właśnie w chwili skonań, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił. Ptaszki zlatywały na niepielegnowane doniczki z kwiatami – krzątano się około pogrzebu, a pogrzeb ten, jaki był, to różni różnie opisali. Ja – na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem dwie – jedna z tych rzewnymi łzami zalana była, co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającym na wiele dni potem, kiedy liczne podówczas społeczeństwo polskie w Pa-

ryżu bawiące się odwiedzałem był – bo wiele było (jak zawsze świetnych i niepospolitych) Polek podówczas w Paryżu...

Mam rysunek Juliusza, który on w Egipcie rysował z natury, bo pejzaże zwłaszcza rysował wcale dobrze, ale przeciąłem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albumu osoby z kraju przybyłej ofiarowałem, drugą zostawiając sobie – aby sprawdziły się słowa w *Beniowskim* napisane, iż „**prawą rękawiczkę twą zawieszę w muzeum jakim, a o straconą lewą będą skargi!...**” – ironia bowiem taka nadobnie-bez-zjadliwa jako ironia Juliusza pośmiertnym bynajmniej wspomnieniom nie zawadza. Owszem, brzmi ona podobnie tym słowom, które Filip Macedoński przy budzeniu się powtarzać sobie kazał: „**Królu! słońce już wschodzi, pomnij przez cały dzień, że śmiertelnikiem jesteś.**”

*

To zaś – przypomina mi zupełnie odrębną rzecz, o osobie bynajmniej sławnej, bynajmniej zasłużonej talentem, pracą lub cierpieniem – o osobie, której nazwiska nawet nie wiem, a narodowość wątpliwie wiem... Dołączę tu więc wspomnienie **osoby śmiertelnej**, nie znanej mi, niemniej ściśle wierne, z natury wzięte – czynię to zaś tym swobodniej, iż na wstępie zastrzegłem, co o krytyce, krytykach i stylu książkowym trzymam i tuszę w treści, jako niniejsza, w której za cały interes właśnie uważam ścisłą tylko wiarygodność sprawozdania.

Otóż – było to w parę lat po śmierci powyżej zapisanej – nie byłem w Paryżu – nie byłem we Francji ani w Londynie, ani w Anglii, ani w Europie, ani w Ameryce... byłem, na kotwicy, na pierwszym wstępnym pasie Oceanu Atlantyckiego, pomiędzy wyspami kredowatej białości, połamanymi w ściany prostopadłe.

Niedziela była: słońce na niebiosach bez chmur, niżej ciemnoatramentowosafirowe ogromne fale, ale cisza taka, że żagiel żaden nie drgnął, sznur żaden niedbale spuszczonej nie poruszył się... Nie widziałem jeszcze wszystkich osób ekwipaż składających, a wszystkie dla słońca pięknego na pokład wychodziły właśnie; siedziałem na ławce pod masztem wielkim, przy mnie nowy znajomy, światły młodzieniec jakiś, z rodu Izraelita, z którym często mawiałem. Płynąć nie można było dla zupełnego braku wiatru i, kiedy się dalej popłynie, zgadnąć nie można było...

Kiedy tak siedziałem, nieskończoną przestrzeń fal przed oczyma mając, przewiała przed nami suknia kobieca, a obok mnie siedzący współpodróżnik rzecze mi po francusku: „...Patrz pan, który jesteś artystą, jaka piękna kobieta właśnie przeszła, biednemu pieskowi w tę

wielką podróż zabranemu mleka na talerzu wynosząc w dzień, w który wszyscy cieszyli się pogodą i niedzielą, a to szczenię biedne ani wiedziało, gdzie i na jak długo zaniepodziało się.”

Że nie spojrzałem, jak mi towarzysz radził, odpowiedziałem mu więc, jak to się mówi, kiedy o czym innym właśnie myślisz: „Właśnie że dlatego teraz nie pójde jej oczyma szukać, kobiety bowiem najpiękniejsze są wtedy, kiedy nie słyszą ani widzą, ani zgadują, że się spogląda na nie – będę więc **uważał ją innym razem – innego razu zobaczę ją...**” – co powtórzyłem jeszcze z przyciskiem, aby odmienić tok rozmowy.

Ale że to była dziwnie piękna osoba (podobno Irlandka), to przecież i tak, kiedy przesunęła się, spojrzeć można było, boć ze stereoskopów już wyraźnie dziś wiemy, ile to człowiek obejmuje wzrokiem mimowolnie, choćby i nie patrzył się wprost na przedmiot. Słońce potem zaszło, wiatru nie było – i księżyc wzeszedł, i podniosłem się, i zasnąłem w kajucie ciasnej, dusznej... i straż tylko po pomoście okrętu trzymasztowego przechadzała się... Krzyk jakiś rozległ się w nocy – jacyś ludzie przybiegli z latarkami – wielki Murzyn, służący główny okrętowy, tu i tam przewinał się po schodach, doktora szukając...

O świcie ruch był jakiś niezwykły na okręcie – wstałem i wyszedłem na pokład. Ta osoba młoda i piękna, którą obiecałem być innym razem uważać i widzieć, nagle umarła w mocy. Zwyczaj jest, że w takim razie przeznaczonym na to czarnosafirowym żaglem, w wielkie białe gwiazdy obrzuconym, przykrywają to miejsce, gdzie zwłoki leżą: taka plama czerniła na środku pokładu o wschodzie słońca...

Tu przychodzi mi na myśl, czy poezję tę, co prawdy rylcem ściślej sama się w żywotach zapisuje, **warto jest** dla cynicznego czytelnictwa dzisiejszego piórem z niepamięci wywodzić i określać... Romans jaki, fantastycznie skłamanym po zażyciu indyjskiego **haczysz**, przyjemniejsze i pożądańsze wrażenie zrobi!!...

.....
Później – później – kiedy do Europy powróciłem, Adam Mickiewicz mieszkał w okolicach placu Bastylli, w gmachu Biblioteki Arsenalu, gdzie i bibliotekarzem był. Miejsce to przepowiedziany przez niego człowiek: z dynastii Wielkiego Napoleona (dzisiejszy Imperator francuski), ofiarował świętej i wiekopomnej pamięci Adamowi Mickiewiczowi – miejsce szczupłe, mało nawet jako fundusz dla rodziny licznej poety przynoszące – a ofiarowane mu, zdaje się, dobrze już potem, kiedy w dziennikach czytało się, iż profesor Kolegium Francu-

skiego Adam Mickiewicz i małowiczni inni odmówili przysięgi na wierność Imperatorowi francuskiemu. Około to późniejszych jeszcze tego panowania miesięcy **Bibliotekarz do Imperatora** napisał też Horacjusza językiem *Ode*, nieskończenie z formy przystającą do urzędu i miejsca powierzonego mu.

Więc to – krótko przed misją na Wschód, na jaką z bibliotekarstwa udał się był pan Adam, zaszedłem doń, do gmachu Biblioteki Arsenau, gmachu ciemnego, z korytarzami i kamiennymi wschodami – było to w niedzielę, bo pamiętam, że ze mszy szedłem i książkę z sobą miałem. A szedłem go przywitać więcej niż kiedykolwiek serdecznie, bo bliżej... **bliżej** zaś z powodu, iż dochodziło mię było, że **wspominał mię**, kiedy w Ameryce zostawałem – a kiedy tam odpłynąłem, powiedział tylko komuś : „...**To on tak jakby na Pere Lachaise pojechał!**...” – co, że zrozumiałem, było mi przyjemnie, iż ktoś mię wspominał w Europie, i dlatego też przyjemnie szedłem przywitać go.

Wesoło spojrział na mnie i uściśnął, i rozmawiałem z nim do zachodu słońca, bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie, kiedy myślałem odejść. Pokoik to był mały z piecykiem dobrze zapalonym, gdzie od razu do razu pan Adam poprawiał nieco węgle kijem.

Ubrany był pan Adam w futerko wytarte, szaraczkowym suknem powleczone, które skąd w Paryżu można było dostać, tej barwy, kroju i podżyłości?... pytanie ciekawe – bowiem: była to, zdaje się, kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach dobrze od Warszawy oddalonych. W pokoiku wisiała piękna rycina przedstawiająca ś. Michała Archaniola podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie – czy też podług tego obrazu Rafaela, który w Luwrze jest, tego dobrze nie pamiętam. Także Ostrobramska Matka Najświętsza i Dominikina oryginalny rysunek, komunię ś. Hieronima przedstawiający – jeszcze także rycinka mała z Napoleona I-go przed generalstwem jego portretowana, a pod nią daguerotyp mężczyzny sędziwego, prosto stojącego, w surducie zapiętym, jak chodzą francuskie inwalidy, a był to czas właśnie pierwszych wojennych kroków ostatniej wojny... Na biurku zaś, **od czasu niedawnego dopiero widzialne** u pana Adama, dwa niedźwiedzie pasujące się – odlew z gipsu.

To było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa tygodnie zaszedłem znów do pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zastałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak że drzwi kiedy otworzyłem, wpadłem nań – wrócił więc na jakie półtóry godziny jeszcze, przez które z

nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miał być gdzieś iść jeszcze one półtorej godziny pierwej.

Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, małe zboczenie robiąc: że nieświadomość **prawdy** tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy śmierci dotyczących... aż kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę, a on gdzie indziej iść, ścisnął mię za rękę i mocnym głosem rzekł mi: „No... *adieu!*”

Że nigdy ani po francusku, ani tym tonem nie zegnał mię był, a tyleż razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta i, na schody do siebie wstępując, słyszałem jeszcze to słowo: „...*Adieu!*”

Przypadek zrządził, że nie mogłem widzieć odtąd pana Adama, ani pożegnać go, kiedy na Wschód wyjeżdżał – słowem, że to ostatnie było one dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co aby jaśniejszym było, dodać trzeba, że nieboszczyk pan Adam miał to do siebie, iż nie tylko, **co mawiał**, ale i: **jak mawiał**, zatrzymywało się w pamięci...

.....
Przy ulicy **Tour des Dames** na wzgórzu jest dom, do którego dopiero wszedłszy, rozkład schodów i fragmenta z **gliny polewanej czternastowieczne, florenckie**, okazują, iż poważnego artysty to mieszkanie... Tam gdy niedawno wszedłem był – a potem na najwyższe piętro do atelier p. Delaroche'a, wielki artysta raczył mi pokazać ostatni obraz swój, właśnie że skończony. Była to rzecz wielkości dużego **pół-arkusza**, malowana na drzewie.

W zaułku jerozolimskim dawało się więcej **czuć**, niż **widzieć** przez podobną do okna szczelinę, iż człowiek, którego zwano Mistrzem, Rabbim, Mesjaszem, królem i prorokiem, i uzdrawiającym pewnym lekarzem, a który był Chrystus, syn Boga żywego, właśnie że jest wzięty przez strażę i prowadzony od urzędu do urzędu, a może właśnie na Górę Trupich Głów. Piotr Święty, najbliżej okna owego stojąc, porywa się jak człowiek szabli szukający, a Jan Święty, na piersiach kładąc mu ręce swe, uspokaja księcia apostoła i sam zań, przezeń czuwając, w okno patrzy.

Ta grupa jest przy ścianie okna – po niej ustęp, jak w *Stabat Mater* ustępy strof – dalej klęczy Matka Najświętsza, jak się klęczy przed ołtarzem w kościele, kiedy jest wystawienie Najświętszego Sakramentu – za nią ustęp znowu – i grupa świętych niewiast w katakumbowej jakiejś architektury cieniach... Oto obraz cały z męki Pańskiej, w którym

osoby Zbawiciela **widocznej nie ma**, ale jest ona tylko w **gamie-wyrazów-twarzy** osób, mękę Pańską widzących, wyrażona.

Wielce uradowany, iż jest przecie na świecie artysta... patrzyłem na ten maleńki obrazek, a że ś. p. Delaroche (tak jak, bywało kiedyś, **Ary-Scheffer**) raczył mi pozwalać, abym, oglądając utwory jego, mówił **wszystko**, co mi się zdaje, ja zaś, na tym już stopniu stojącym artystom, nie mniemam, aby inaczej się mówiło, długo więc myślenie moje określałem w słowach ściśle wiernych.

I skończyłem na tym – że sądzę, iż obraz taki następstwa swoje mieć powinien i że sam jeden oderwanie wzięty niepełną jest rzeczą – na co mi p. Delaroche odpowie: „Trzy właśnie takie robić chcę, aby to sformowało trylogię...” Potem pokazał mi jeszcze portret Thiersa, wyborny pod wszelkim względem, i – znów do małego obrazka powróciwszy – rzekł mi tonem żegnalnym (bo właśnie ktoś nadchodził jeszcze): „Tak, trzy dopiero obrazy tego rodzaju razem wzięte okażą całość...” – i parę kroków ku drzwiom ze mną robiąc, po dwakroć dodał: „**Skoro tylko dwa inne obrazki zrobię... pokażę je panu – pokażę je**”, co zwykł był określać dobitnie, bo nie eksponował publicznie dzieł swoich ani nie każdemu je pokazywał, zwłaszcza od niejakiego czasu...

Odtąd nie widziałem już pana Delaroche'a, w którego śmierci ostatni promyczek **Leonarda da Vinci** mrokiem się okrył...

Dowadywałem się, czy dwa inne obrazki zaczęte były przed śmiercią wielkiego artysty, ale nie... może w szkicach...

*

Rzeczy tu opisane *Czarnymi Kwiatami* zwę: wierne są jak podpisy świadków, którzy, pisać nie umiejąc, znakami krzyża niekształtnie nakreślonego podpisują się; kiedyś i... w literaturze, którą może **zobaczę innym razem**... pisma takie nie będą dziwnie wyglądały dla szukających powiastek czytelników. – Są bowiem powieści i romanse, i dramy, i tragedie w świecie niepisanym i Nieliterackim, o których się naszym literatom ani śniło, ale – te określać – czy warto?... już?...

1856 r.

BIAŁE – KWIATY

Na pewno tego nie pamiętam, gdzie widziałem płaskorzeźb wyobrażający wychodzącego z Świątyni Zachariasza, a nie mogącego otaczającym mówić, iż zaniemiał do czasu narodzenia się Jana ś. Chrzciela, syna jego; zdaje mi się, że to we Florencji, na tych brązowych bramach Chrzcielnicy ś. Jana, o których Michał Anioł Buonarroti rzekł był, iż oczekującymi raju na ziemi bramami są, które przenieść jeszcze, gdzie raj jest, zaniechano.

Za pewne jednak uważam, iż tak trudnej rzeczy, jaką jest **rzeźbachrześcijańska**, to niewątpliwie najpiękniejszy może przedmiot. Starzec niemy jest – cisza wielka wokoło – wszystkie osoby słuchają i pytają razem, i od-powiadają razem... milcząc...

Otóż – w jednej nieskończenie ważnej kwestii estetycznej pod obecne czasy, u nas i na świecie, w kwestii, dlaczego (sumiennie rzecz biorąc) **nie ma nigdzie prawdziwego dramatu**, przyszedł mi na pamięć ze względu na sztukę, mówię, ów płaskorzeźb florencki.

Kto się nie zgorszy prostotą szczerą prawdą, ten zgadnie łatwo bardzo, dlaczego w literaturze naszej **dramatu być nie może**... Ale dlaczego w żadnej innej dziś go nie ma?

Na to (doprawdy, że bawi mię, iż ja jeden) śmiem odpowiedzieć, te **kwiaty białe** zapisując, aby Francuz z czasem i inny obcy literat przełożył sobie na język swój wiadomość, skąd ta u nich nieobecność **prawdziwego-dramatu** powstała.

U nas bowiem to z przyczyny niezmiernie prostej, czyli iż literatura nasza nie określiła jeszcze ani jednego skończonego typu kobiety, a jakoż bez kobiety dramat być ma? Nawet sama *Maria* Malczewskiego to tylko krzyk jeden kobiety, która **kochanką** nie śmiała być jeszcze, **żoną** nie miała i nie mogła. Aldona jest to wieża śpiewająca – Grażyna w hełmie swym zamkniętym nic a nic już nie mówi nawet... Inne zaś innych kobiety są tylko przegrywkami w antraktach opery **poza ich udziałem** dziejącej się.

Najjaśniej przeto widać przyczynę estetyczną nieobecności pełnego dramatu u nas, lubo najniejaśniej mistyczne i realne, to jest społeczne, wyjątkowego zjawiska tego źródło, i zupełną naturę jego, tak dalece, iż skrzętnie bardzo skracam to.

Ależ – u dzisiejszych pisarzy innego narodu, gdzie ze wszech miar szeroko każdy romansista najmniej sławny na wszelaki możebny i niemożebny sposób **przedmiot ten** traktuje i uprawia!!!... czemu ? – mówię – tam, serio uważając, pełnej dramy nie ma, tego, ile wiem, nikt dotąd niezbitnie nie okazał...

Ja też nie dowiodę bynajmniej po akademicku, bo tu wcale nie myślę o tym, tak dalece, iż wynikiem tylko jest prawie bezwłasnowolnym ta, o nieobecności dramatu u cudzoziemców i przyczynie jej głównej uwaga. Powiem jednak pokrótce, dlaczego to jest tak, z powodu iż odpowiedź na to krytyczne zapytanie posłuży mi do toku głównej rzeczy w tych kilku kartkach zawartej.

Dramy prawdziwej nie może być, ilekroć się zatraci pojęcie dramatyczne **ciszy** i pojęcia jej natur – czyli, **jaśniej** tłumacząc, albo raczej szerzej tłumacząc założenie powyższe: kiedy się zatraci *basso* w muzyce, a kolor biały na palecie malarza, a pion w rysunku. Cóż zupełnego tak niezupełne środki otrzymać są w stanie? Nadanie stanowczego kierunku i stopnia **ciszy** w dramatyzowaniu jest dla dzieła tej natury tym, czym w obrocie planety niedotkliwa i niewidzialna planety **oś**.

Kto ma uszy ku wysłuchaniu prawdy, ten niech całość jej wysłucha. Ja, że za wstęp jedynie użyłem jej tu do prostego spisu kilku wrażeń, wspomnę tylko, dla korzystać chcącego innostronnie z wzmianki powyższej czytelnika, iż nie wiem, który by dziś autor, bez potknięcia się w śmieszność, potrafił dociągnąć tam aż dramy pochod, gdzie Calderon zamyka swój i wychodzi już sam na scenę mówiąc:

„Dalej – pisarz dramatu podnieść się nie będąc w stanie... skończył.”

U Szyllera bezmowne zupełnie chwile dramy może najwyższymi są poetycznymi jego polotami. Zdaje się, że to nie inąd, ale tędy **drama w rzeźbę przechodzi** – co zazwyczaj w tańcu raczej poszukiwano, akrobatyzując przeto monumentalną rzeźbiarstwa powagę. Jakiż barbarzyński błąd tych systematyzujących tak estetyków!...

.....
Gdzież by **Niobe** podzielała swoją twarz, gdyby rzeźbiarstwo przez sam taniec z dramą ożenione było?...

Albo – zapytanie rubaszne i beztreściwe, nic nie opiewające jako myśl, zapytanie Hamleta patrzącego, gdy aktor łyzy wylewa, zapytanie to : „... Co **jemu do Hekuby?**...” – byłoby tak wysokie w prozie jego?...

*

Jakoż – susząc dopiero natury **cichości** rozmaitych; przychodzi się potem do usłyszenia dramy i głębokości wyrazów bezmyślnych, bezkolorowych, **białych** (że tak je nazwę), i to zda się być wątkiem wszelkiego dramatyzowania prawdziwego.

Tędy idąc – doszedłbym jeszcze do daleko ważniejszej rzeczy – to jest do **mianownikowania filologicznego**, i że to jedynie tą drogą kres swój znachodzić może, czego zasłużony i genialny Kamiński nie wiedział jeszcze, acz my przez jego zasługi położone w rozkładaniu wyrazów dowiedzieliśmy się – ale byłoby to za wiele o tym pisać – wspomnę tylko, że-ć **głęb** wszelka jest to i **kłęb**, i **gołęb**, ale dalej... uczyszam się już jako Calderon w dramie swej... wiadomo jest wszelako, iż w tej pracy to, co jest filozoficznym jej kamieniem, to właśnie że ta znajomość **kresu, do którego, rozkładając wyrazy, objaśnia się, a od którego już, rozkładając je, zaciemnia się**, zamiast objaśnienia – i ten to kres mianownikiem ja zowie.

Patetyczność nie pochodzi *pathos* (choroba). Patetyczność pochodzi od *pasho*...

Tylko **zdrowe-cierpienia** dramatycznymi zdają się być... choroba ma na polu wiedzy patologię raczej, nie patetyczność.

Różnice tu, na polu sztuki, są takie między powyższymi określnikami, jak na polu życia np. między historycznym a historycznym fenomenem jakim...

.....
Jeżeli mówię : **cisze różne, to i wyrazy one** białe, bezmyślne, nie opowiadające nic, a których kilka tu i owdzie słyszałem, albo których raczej świadkiem byłem, bo od tła, na którym miejsca swe znajdowały, nieodłącznymi są.

To – pamiętam, że dawno, dawno – było to jeszcze w roku około 1836, kiedy tak odmienne było całe tło myśli w Europie, a *Dziady* pana Adama były mi potężną, **jedyną nutą myśli i uczuć**, jak każdemu... te czytałem...

Było to w dzień najprozaicniejszej barwy, ni suchy, ni dżdżysty, o dobie około południowej i bardzo powszednią barwę mającej, na zagrodzie ubogiej ojców moich, gdzie urodziłem się – na prostej, bezpoetycznej, obwodu stanisławowskiego w Mazowszu, równej jak piaski ziemi. Szedłem wzdłuż alei, która sad owocowy od warzywniej ogrodu części przedzierała – alei bynajmniej z drzew sędziwych i sadu wcale

szczupłego – nie myślałem o niczym w tak nijakim miejscu pod każdym względem – gdy naraz dziewczyna, za aleją w ogrodzie warzywnym onym pieląc, głosem bynajmniej pięknym i nie dokończonym tokiem urwanej pieśni zanuciła:

...a odjechać od niej nudno,
a przyjechać do niej trudno!...

Stanąłem jak wryty, myśląc, że głos do nacytania się w dramacie pana Adama piosenki onej zastosowałem w sobie słuchem moim – ale po chwili znowu najwyraźniej też słowa tym głośniej mię doszły:

...a odjechać od niej nudno,
a przyjechać do niej trudno!...

„Prosta pieśń – rzekłem – ale dobrą myśl zawiera...” (widać stąd także, że Mickiewicz z pieśni gminnej ją przybrał).

.....

Niebieskiej uroczystości cisze są w Albano za Rzymem, nad jeziorem, które odbija w sobie **Castel Gandolfo** – tam, kiedy zadzwonią na *Angelus*, a niebo jest chmurki nieświadome i jezioro nieświadome zmarszczki, laury wtedy wiśniowe nieporuszonymi i szerokimi liśćmi swymi cień, jak one cichą, rozrzucają po ścieżce krętej nad wodą, a przy skale, jak gzyms u gmachu starożytnego, uczeptionej.

Po ścieżce tej pojechałem był raz o południu ku **Grotta Ferrata** i powracałem wieczór tąż samą ścieżką, a jadąc na ośle, zwłaszcza w górach, pamięta się dobrze szczegół wszelki na drodze spotkany. Dzwoniono na *Angelus*, kiedy zjawił się obok mnie wieśniak włoski na ośle swoim i obadwa zdjeliśmy kapelusze, po krótkiej modlitwie wraz przez toż uczestnictwo w rozmowę wprowadzeni.

Widząc albowiem wieśniak ów, Włoch, że katolik jestem, nie myślił, abym był obcym człowiekiem, i mówić poczęliśmy, jadąc społem, o tym i o owym – nawet o niedoperzach, które już świstać poczęły nam wkoło kapeluszków, że mrok zapadał... Jakoż pomnę, iż Włoch ludowym opowiadał mi sposobem starożytną bajkę grecką o Prometeuszu i Epimeteuszu, przetłumaczoną na ten sposób, iż Pan Bóg ptaszka stwarzając błogosławił mu, a zły duch, coś lepszego wymyślić chcąc, dał życie niedoperzowi... Takie to różne rzeczy mówiliśmy, nogi mając wolno w strzemionach naszych i opuściwszy cugle niepotrzebne, gdy osiołki po wąskiej jak miedza polska, skalistej wiszarze – pod spadziłą skałą, a nad jeziorem – próbowały uważnym kopytem rażno zdążyć...

Naraz – osiołki stanowczo wstrzymały się, a my siedząc na nich poczuliśmy, że o zaporę uderzamy, lubo, dla mroku zupełnego, dostrec od razu trudno było, co замуrowało ścieżkę wąską, tam jadąc tak dobrze już poznaną. Był to zaiste odłam skały, tak jak szeroka droga, na którą się ze szczytu góry stoczył, wielki, zupełnie więc zamykający przejście...

Kiedy przeto, siodła opuściwszy, oprowadzaliśmy, jak można było, osły nasze, sami przez głaz przełaząc..., rzekłem do towarzysza Włocha: „...Przed kilkoma godzinami przejeżdżałem tędy cwałem za dnia i pamiętam na pewno, iż tego głazu nie było tu...” A on chwilę przemilczał – potem, uchylając nieco kapelusza (jak przy zagajeniu rozmowy naszej na *Angelus*), w pół monologowym akcentem rzekł: „...Ten kamieni rodzaj nie upada, kiedy chrześcijanie są na drodze... ale... kiedy nikogo nie ma, to one się tu staczają z wierzchu skał... bywało...”

*

Teatr i drama współczesna, aby sądzić do ila, z tego punktu widzenia uważając je, krytyki nie wytrzymują i umarłymi są, to trzeba i **innej natury** ciszę jaką, z teatru deskami zbliżoną, uczuć i dotknąć jej.

Kiedy – o południu, wśród tłoku i gwaru, na wschodach do izby poselskiej wiodących śmiercią Cezara upadł minister Rossi, a krew wstęgą krzywą od szyi mu się na ścianę zatoczyła, do odpasanej szarfy podobna... nadszedł po niewielu godzinach i on harmonijny wieczór włoski, i księżyc za nim o chwili sobie właściwej wytoczył się na niebo, tylko że przesłoniony (pamiętam) chmurą wąską, jak kiedy prosty człek rękawem ociera czoło swoje – albo oczy przysłania...

Minister miał był zwyczaj w znanym kącie łoży, czerwonym aksamitem wybitej, jemu tylko należnej, w teatrze o spóźnionej godzinie siadywać; a ktokolwiek uczęszczał na operę, pamiętał mimowolnie, że medalowej czystości rysów profil, z wiadomej strony, od wchodu do sali, o pewnej godzinie należy mu się widzieć. Nocy tej – takim, jako się rzekło, księżycem oświeconej – czemu grano **po pierwszy raz** na operę przerobionego Macbetha... to kazuistyczne tylko dziejów teatru filiacje wytłumaczyć by (nie najzupełniej na próżno) może i potrafiły.

Pamiętam – że przez ciche, bez pieśni i mandoxlinów, i rozmów zazwyczaj rożnych, ulice – może i nie ja jeden dlatego się udałem **do teatru, aby publiczność widzieć...**

Chwila otworzenia kurtyny wedle codziennego programu gdy nadeszła, znaczna liczba widzów w przysionku teatru nie najjaśniej oświetlonym i po kawiarniach bliskich, **gdzie nikt dziennika ze stołu nie podejmował**, nieporządnie przechadzała się... Po niej jakim czasie weszła garstka, a połowa jej wyszła i weszła znów – muzyka rozpoczęła uwerturę... W wyższych łóżach, tu, owdzie, parę osób niestrojnych albo niespodziewanie strojnych dam parę pokazało się. Niektórzy wychylali się i oglądali naokoło, jakoby afektując, iż widzieć chcą oblicze i liczbę publiczności; nareszcie za rozwinięciem opery sformowała się pewna całość gości używających teatru z nawyknięcia, jak gdy o pewnej dobie higienicznie kto nawykł w wiadomym kierunku bez celu przechadzać się...

W miarę jednak jak opera przez treść swą w dramę i tragedię przechodzić z czasem zaczynała, pusta łoża ministra Rossi, nie oświetlona jako inne (iż familijna była), ciemnopurpurowe, aksamitne wnętrze swoje ku światłu, jak wielka rana, odmykając, uprzedziła wrażeniem magiczną oną Shakespeare'owskiej tragedii chwilę, kiedy cień zaszytowanego Banka na pustym krześle przy uczcie teatralnej zasiadać ma...

I poczęło się grać pomiędzy publicznością a sceną to, co Shakespeare w *Hamlecie* obmyślił był, aby zagrać tragedię na dworze, scenę na scenie dając... i kto wtedy publiczność a scenę widzieć tam przyszedł był, to w czasie, kiedy aktor Banka cień przedstawiający wynika z trapy swej, ranę czerwoną pokazując, znajdował się sam pomiędzy teatru pełnią a pustką łoża ministra, jako Hamlet u nóg Ofelii... i nie dowierzał sobie sam, że widzem przytomnym jest, albo: i tu, i tam Shakespeare'a tylko aktorów grających widząc, baczył, azali sam jeden Shakespeare chyba widzem prywatnym gdzie nie stoi...

.....

Takich to cisz akordy straszne są samą głębokością sądnych kombinacji swych, przytoczyłem zaś on powyższy zarys na to, aby *Białe kwiaty* stosowny sobie miały cień, **lubo nic tu się nie pisze, co by nie było uszczknięte, że tak powiem, z niw natury rzeczy**, i jeżeli zmniejsza jest cokolwiek nieobecność stylu, jaką użyłem w *Czarnych kwiatach*, to o tyle tylko, o ile jest wcale niemożliwym uniknąć sztuki, owszem, o ile ta w tej sferze sprawuje prawdę przedstawienia.

Błogosławiony i szczęśliwy pisarz, który prawdziwej patetyczności bezbarwne słowa zna i strzeże – **pisarz i człowiek każdy!** – lubo często te nieledwo wcale od nas zależeć nie zdają się.

A są tym piękniejsze, z tego je stanowiska ceniąc, im mniej jako idea i myśl zawierające w sobie – im nijaksze...

Często: że je określać trudno, zapominane są i mało baczone... zaiste –nie kryję, iż uprzytomnianie ich sztuką pisania bacznej bardzo pilności wymaga...

Mniemam wszakże, że byłoby zarówno pięknie jak, **zdaje mi się, koniecznie prawie**, aby sztuka polska, pod tym względem pierwszą się w europejskiej dzisiejszej literaturze jawiąc, słupy swe żelazne zakopywała stanowczo i wyraźnie. Nowego budynku estetyki niebezpieczna jest systematami, najbezpieczniejsza prostotliwą parabolą, z życia bezstronnie przyjętą, uczuciem utwierdzać... A zaś **świadomość paraboli** sama przez się coraz dalsze pokaże kresy, braki, dobytki...

Pamiętam kilka słów zaszytych mi w drogę tu i owdzie, które najdobitniej oprzytomnieć mogą ogólny zarys moralny i estetyczny tych notatek. A przytacza się je (jako każdy dobrej woli czytelnik zauważyć potrafi) z wdzięcznością nawet, iż za wskazówkę poszukiwań prawd estetycznych posłużyły. Żadnej myśli nie określające słowa powiedział mi raz jeden z najpoważniejszych obywateli w Europie, kiedy w onych niedawnych, lunami rewolucji świetnych latach przybyłem z Rzymu do Paryża.

Starzec ów znakomity, pogodnie rozmowę zagaiwszy, pytał mię o Rzym starożytny: ile? – gdzie? – jako? odkopywanie starożytności postąpiło... Odpowiadałem był jako osobie dotykalnie rzecz znającej i jako się mówi z kimś, co w rozmowy celu niknie przez to, iż przedmiot szczerze zna.

Że taka: rozmowa w sobie samej żywot ma,, wypadło mi najprościej dla porównania postępu prac zapytać: „**A kiedyż książę jegomość ono Forum-Romanom widziałeś?..** Odpowiedź była najprościejsza, którą jednak w notatki słów onych powyżej określonych zamieściłem – odpowiedział mi był książę: „**To było w przeszłym stuleciu.**”

Trzeba być zaiste wywikłanym z fałszów estetyki schorzałej formułek, aby śmieć wytykać i poszukiwać dróg odbudowania szkoły nowej w **sztuce** czy to w **literaturze-sztuce**, wszelako, coraz bliżej (śmiem to zapowiadać) zobaczycie już w Europie kierunki te na jaw wychodzące; trzeba więc, aby młoda szkoła polska baczna była.

A inne znowu słowa, w Londynie np. które przytrafiły mi się, dały mi to dostrzec, jak jest łatwo poddać się formułkom czczym bezpateycznej dramy.

Artysta, też i ludowego pierwiastku czciciel, mieszkałem tam w najuboższym prawie domku najuboższej miasta części.

Wieczorem raz, przy świetle sam zostając, nie uważałem, iż ktoś wszedł, zwłaszcza iż angielski klimat wilgocią swą przygłuchnięcie moje chwilowe zwiększył... Mąż postaci zacnej (i rycerskiej nawet twardością rysów swych) stał przede mną, laskę grubą trzymając – wstałem i przywitałem. „**Nie wiem** – rzekł gość – **jak się odezwać mam : obywatelu, ziomku, rodaku czy panie.**” Dekoracje tej sceny były więcej niż zaniedbane, a ja mniej starannie od gościa osłonięty.

„Proszę usiąść” – odrzekłem. „Nie! – na to przychodzić – pierwszej niech wiem odpowiedź...” „Otóż – rzekłem – widzi pan, można powiedzieć **panie** i powiedzieć **bracie**, powiedzieć **bracie** i rzec przez to **panie**, i wszystko w tym (wedle estetyki polskiej) zależy od tego, jako się powiada albo słyszy ? a k'temu, **aby widziano, dotykano i słyszano słusznie, toć są sztuki piękne odpowiadające wzrokowi, dotykaniu, słuchowi...** tych sprawiedliwe uprawianie czyni a muzyka już u nas przecie kwitnie...”

Tak oto coś począłem mówić – gdy przychodzić pięknym męskim głosem rzecze: „To najlepiej: **rodaku!**” – ale przycisk taki był na literze pierwszej, iż w głuchocie mej dalsze mi zniknęły, światło przy tym mdłe i postawa, i laska gruba uczyniły razem, iż zdało mi się nie **rodaku**, ale **rrrobaku!** usłyszeć.

Że bez śmiechu to notuję, jako potrzebny odcień w zarysie tym, proszę również tak przyjąć; **nie celem mi tu śmiech, ani środkiem nawet.** Innych, pewniejszych środków bliskie jest to pisemko z siebie samego. Biały-ć i to kwiat!... bo zarysem jego było serio i drama, ale widno do ila własnego tu wyrobu estetycznego i pojęcia patetyczności własnej zbywa! Może w innych poszukiwaniach innych dróg na innych polach posłużę i ja komu za objaśniające śmiesznością swą światelko... wszyscy służymy... estetyka zaiste że narodowa polega na tym...

.....

Kto by myślał, że poszukiwania świadome nowych estetyki zdobytków byłoby na polu szerszym, po francusku na przykład, stosowniej wypowiedzieć, myli się. Swobodnie tu jest i przystępne wszystko w tym wielkim i zacnym narodzie, dla którego szacunek mam świadomy siebie, ale... może by trzeba władzę pierw mieć albo systemat sławny na to, a obie te rzeczy wprost przeciwne są celom takowej i mojej pracy.

Mistrze zaś wielcy w sztuce, choć to i usłyszą, i rozumieją, **cierpieć będą, że nic k'temu nie uczynili, a nie uczynią nic!**..., czekając zawsze, aż uczeń mistrza, a pokolenie zakasuje pokolenie, skąd **ciągu** nie ma i mieć nie może tak rozwijana sztuka. **Konkurencja na polu postępowi** jedynie dostępnym jest najprostszym *absurdum*, a **emulację** zabija zawsze **konkurencja** i energię twórczą wyniszczy.

Lubo – nie ma co się tam przecie ścigać, gdzie dróg jest nieskończona liczba – to tylko, jak się jedną drogę widzi, ścigać się może jest koniecznym, i to jeszcze: może!... Przy tym **nieświadomość wartości elementów komiki i satyry** wyniszczy tu zawsze siew tej niwy...

.....
Ciszy w najkolosalniejszym słowa tego tonie nie doznałem nigdzie jeszcze wyższej nad ciszę o jednej nocy, acz zimowej, na Oceanie... że słów na to nie ma, mimo iż twarda to i prawie głodna podróż dwumiesięczna przeszło była i uprozaiczniała dobrze... pomnę, iż obejrzawszy się wkoło ani modlić się nawet słów nie miałem – i **zapłakałem tylko... że może być tak wielka cichość...** a przecież tyle mórzw pierw innych znałem...

Izraelicie, towarzyszowi podróży, którego raz w życiu napotkałem, i to na okęcie, patetyczne rzeczywiście winienem także słowo. Był to młodzieniec świątły, w filologii i filozofii. także niemieckiej biegły, historię też znał i o sztuce miał wyobrażenie – umiał on i po polsku parę wyrazów, bo, acz za granicą wzrósł, pamiętał, że dziecięciem w Polsce był; jak to mówi się czasem u nas szlachty: był to **żydziak**.

Jedliśmy nieraz razem z jednego naczynia ryż gotowany, zwłaszcza kiedy trudno było gotować, z powodu iż burze kuchnię rozbijały, a **fale wyższe masztów** przechodniem na statku pomiatały. Bo to była też niebezpieczna żegluga : dwa okręty współpłynące rozbiły się, j eden **rozbity** widzieliśmy na własne oczy.

Wiele razy na zwojach sznurów z Izraelitą owyn całe noce rozmawialiśmy po francusku o polityce, historii, filozofii, estetyce, o Religii Chrystusa Pana, i o Talmudzie, i o Mojżeszowym prawie, i o nie wiem już czym. Gdy nadeszła niedziela (jedna z tylu **niedziel!**), że, ubierając się w kajucie, przymknąłem nieco drzwi, patrzę, aż ręka się przez szparę z niedomknięcia drzwi wynikłą wsuwa, podając mi **różową flaszkę olejku do włosów i bieliznę świeżą**: rzeczy, domyślić się łatwo, jak kosztowne i rzadkie tam, gdzie już wodę bardzo oszczędnie rozdawano, i przy broni nabitej, aby ludzie się o wodę nie pobili... Izraelita wszakże, przynosząc mi te rzeczy, wiedział z innych niedziel, po samej

książce do nabożeństwa spotykanej u mnie, iż dzień ten wyróżniać zwykłem. Otóż mówiłem z nim wiele, wiele różnych rzeczy...

Jednego razu, wpodłuż statku miotanego ogromnymi falami chodząc, że spodziewano się znaczniejszej burzy w nocy, ruch był wielki i krzyki rozkazów szczególniejsze niż dotąd... a że chodząc tak przed oną oczekiwaną burzą mówiliśmy żwawo coś o Bożoczwłowieczeństwie Chrystusa Pana naszego, interlokutor znój przymilkł jakoś na chwilę, i ja za nim; potem, wskazując mi na fale, rzekł: „A więc wierzysz i w to, że Mesjasz chodził po falach jak po ziemi?...”

„Wierzę” – odpowiedziałem...

.....

Po niejakim przestanku obustronnym, widząc, iż mój interlokutor izraelskiego jest wyznania, a światły człek, dodałem:

„Przypominasz sobie zapewne moment i okoliczność, w których Pan przez morze szedł (boć czytujesz Ewangelię ze mną razem, kiedy mi hebrajskie czytanie na tłumaczeniu Nowego Testamentu w wolnych chwilach pokazujesz), był to więc moment, kiedy już rzesze całe w najwyższym stopniu zaczęły się za Chrystusem Panem porywać w **zapale tłumnym** – lada chwila królem już ziemskim mógł być okrzyknięty... otóż uchadzał w ten czas drogami najmniej od rzeszy znanymi... w takim to położeniu raz przez powierzchnię morza szedł... akt był logicznie naturalny, wynikł z rzeczy samej, jeżeli, jako widzisz, na **małeńkiej ziemi** syryjskiej zostawszy Panem, to wystarczyło już, aby panem oto był **wszechziem** – tam więc, gdzie owa ziemia maleńka, kończyła się też i cała ziemia z ładami swymi, a zaczynało się morze... Powiesz mi (lubo filozof jesteś): ?A czemu to tak nie pójdziesz, bracie, aby pokazać mi, że tak jest?? – **Zmierz-że pierwej proporcję moją do Pana mego, tudzież uważ, azali on, aby pokazać to, czynił tę sprawę, czy nie raczej, aby ukryć dostojność swą...**”

„**To jedno ci powiem** – (mile tu wspomniany, a raz spotkany) Izraelita rzecze mi – **że jużci Chrystus wasz był to może najidealniejszy człowiek...**”

.....

Książę pewny, z zacnego a wielmożnie historycznego szczepu (bo hetmanów rycerskich między swymi dziady mający), był też od niejakego czasu w Ameryce, **obywatelem Rzeczypospolitej zostawszy**, i na pięknym przedmieściu miasta New-York, które to przedmieście zowie się Brooklyn, zamieszkiwał. Wiele mu winienem chwil przyjem-

nych i przyjacielskich usług, a usługi mówię dlatego, bo jest rzadkiej uprzejmości serca człowiek.

Kiedy wielkim smutkiem dotknięty po onym wybrzeżu przechadzał się raz ze mną, a słońce właśnie ku zachodowi miało się, chmurą mocnymi promieniami przesyta osłonięte, widać było opodal **wzgórze małe**, zielonym wówczas porośłe żytem, w kłosach właśnie będącym – dalej szeroka rzeka srebrzyła się pod słońca jasnością, **fortecy małej mury na brzegu jej i okrętu tuż resztką czerniły się...**

Nie pamiętam, o czym mówiliśmy... ale mówiąc rzeczy rozmaite pamiętaliśmy, dokoła spozierając, że okręt ten zachowała do dziś Ameryka na pamiątkę męża, co na nim przyplynał z Europy...

Wzgórze zielone i forteczka pamiątkami są narodowymi, kędy mąż ów Anglików zbił, a cofających się żołnierzy swych utrzymał tam nie raz odwagą osobistą... I pamiętaliśmy jeszcze, że towarzysz przechadzki mej, z poważnie historycznego a książęcego rodu pochodząc, liczył pomiędzy żeńskimi przodki swymi właśnie że onego wslawionego w Ameryce polskiego bohatera najukochańszego ulubioną...

Bohater ów – łącno jest wiedzieć, że Kościuszko, a zaś [książę Marceli Lubomirski, powinowaty] ulubionej wielkiego wygnańca tego (przez ród jej niegdyś wzgardzonego)... był właśnie ze mną tam wygnańcem i zamieszkałym nieledwie że na pobojowisku, które sławę Kościuszce zjednało!

Ksiązę obywatel Rzeczypospolitej Amerykańskiej przyjmował radośnie to wet za wet po wieku...

MILCZENIE

CZEŚĆ WSTĘPNA

I

Czy śpiącego można przebudzić grzecznie?... Podobno, że nie: gdyby albowiem budziło się go upadkiem na twarz najlżejszego listka róży, jeszcze byłoby to tylko bardzo wykwintnie albo poetycko pomyślanym, lecz nie byłoby grzecznie, bo, końcem końców, trzeba śpiącemu przerwać snowania myśli jego – i to przerwać doraźnie, nie powoli, lecz nagle, przenosząc go jednym ruchem w rzeczywistość i w oczywistość inną. Nie można przeto z oczywistości jednej przerzucać nikogo w drugą sposobem grzecznym, i pewne brutalstwo nierozłącznym zdawa się być od roboty takowej. Stąd to głównie i pierwszorzędnie pochodzi ta odpychliwość, jaką na samym wstępie spotyka u ogółu każdy nowy pomysł lub wynalazek, o ile jest początkującym lub posiłkującym nowe koło rzeczywistości i oczywistości, budzić albowiem grzecznie w żaden sposób nie daje się.

Owszem, większość ogromna społecznych, ażeby stanowczo uprzedzić wydarzenia i spoczynek utrwalić, starała się i bardzo pilnie stara uzasadnić i rozpowszechnić przekonanie, iż nic nowego pomyślanym i okazanym nie może być i że wszelka umysłowa w tym kierunku podejmowana praca przez to samo jest płonnym zachodem.

A co (należy ostrzec) że się może na pozór udowodniać z tej przyczyny, że wszystkość rzeczy i spraw świata tego będąc w jedną harmonię obejmowaną, łatwo jest odwrotnie w tejże harmonijnej jedności dopatrzeć wszystkiego zaczątków, jakoby przeto już nic nowego być nie mogło! Jest w tym jednak błąd ogromny, to jest: że absurdum bierze się za nowe... tylko albowiem absurdum leży poza ogólnym prądem harmonii bytu wszystko ogarniającej.

I wielokrotnie, i do syta nasłuchany w tym względzie cudzych zwątpień, byłem raz użytym w delegacji do jednego istotnie zasłużonego człowieka, któremu koledzy ofiarowali byli dobrze zasłużony medal. Rzeczą tę cenną oddawałem w ręce udarowanemu i nie spodziewałem się być bynajmniej żadnych patetycznych utrudnień w tym posel-

stwie, osoba albowiem i prawdziwie zasłużoną była, i szczerzej prostoty pełną.

Atoli skoro uznawany i oceniony, przyjąwszy swój medal, począł starannie go obzierać, dostrzegłem nagle na jego licach przeblask podobny do uśmiechu, pomieszanego z wielce głębokim wrażeniem – to zaś było tak dziwnie wyraziste, iż długo jeszcze potem nasuwała mi sama wyobraźnia ten psychologiczny obraz. Aż we wiele czasu po delegacji, znalazłszy się raz bardzo poufnie z mężem, o którym tu się mówi, podniosłem umyślnie okoliczność i zapytałem o przyczynę szczególnego wrażenia...

– Rzecz jest niezmiernie prosta! – odpowiedział – po pierwszy raz w życiu zobaczyłem czoło, usta i nos własny w profilu. . . I gdyby nie wasz medal, może, jak bardzo wielka liczba ludzi, położyłbym się w grób, nigdy pierwej własnego nosa mniej jednostronnie nie widziawszy. Ja, który przecież ze wszech stron piramidy oglądałem!... Otóż myśl mi przyszła była, że zaiste muszą być jeszcze rzeczy **nowe** do okazania ludzkości, jeżeli, mówię, własny jej nos można zwiastować!

– Szkoda wielka – rzekłem – że tego właśnie nie raczyłeś nam był powiedzieć – –

– Kiedy... jakoś... sam przyznaj, iż takich rzeczy się nie mówi...



Sąż zatem głębiny i stopnie szczerości ducha i oczywistości, które się jakoby spół-milczeniem ogółu uznawa, ale którym jawność spółczesna odmawia wygłosu, co okres, co wiek takowych to z-milknień nieuchronnie dla rozwoju swojej pełności potrzebując? Za całego okresu heroicznego greckiej filozofii, to jest aż do Artystotelesa (lecz nie pouczając tego mędrca), nikt nie pojmowałby takowej jawności-względnej, zakreślone z góry szranki mającej, ani ona komu wystarczałaby! Nieledwie że na ulicy zapytać było przecie można, co jest dusza? jak i ile nieśmiertelna? co życie i żywot? na co i dla czego filozofia?... Zapytywany z nie mniejszą odpowiadał prostotą : „Tyle a tyle wiem, lub nie wiem; co do filozofii, ta – za cel ma uczynić człowieka moralnie szczęśliwym!”¹

¹ I uczony Arystoteles podziela to dogmatyczne filozofów uznanie, że filozofii celem jest uszczęśliwienie moralne człowieka – dodaje on wszelako dwa jeszcze wa-

Starożytni nie znali wcale pewnego rodzaju uśmiechu, który dopiero myśmy wynaleźli, a który też wynalazek zapewne nam przynosi niemały zaszczyt. To jest: oni nie znali uśmiechu zatechłego umysłu i zupełnie zwątpiałego serca, z jakim odpowiadają dziś mędrkowie na zapytania ludzi naiwnych, świeżych i coraz rzadszych! Zaczyna Diogenes przeczuwał zbliżanie się tej epoki wtórej, skoro w księgozbiornie Akademii widząc zapracowanych starców, pytał, kto by to byli ? „Ci, co prawdy szukają” – odrzeczono. – „Ach! a kiedyż oni będą mieli czas ją praktykować?!...” Te wielkie słowa jego i inne brzmiące żywo, jakby wczora rzeczonymi były, nie spotkały były na razie naszego społecznego uśmiechu i ostrzeżenia, iż „takich rzeczy się nie mówi...”, że do takich głębin wielkiego zadania bytowego nie zstępuje się, że wiedza (mianowicie od Arystotelejskiego podziału na umiejętności-specjalne) ma zadanie inne... a jakie zadanie??... tego się także nie mówi!

Słowem – że mądrość oczekiwać spokojnie winna na uzupełnienie wiedzy przez pojedyncze rozwinięcie umiejętności wszystkich, i że wtedy czas przyjdzie praktykowania prawdy! To jest bardzo piękne, tylko, z jednej strony, nie zaspokaja wcale, i owszem, prawie potwierdza Diogenesa zarzut, z drugiej – jesteśmy w stanie zrobić tę małą uwagę, że podział na specjalne umiejętności zaskoczonym bywa i może być przez pojawienie się całych nowych umiejętności, których prąd i kierunek od naszego umyślnego systematorstwa nie zależy.

Rzecz szczególna! ze wszystkich mędrków starożytnych jedyne Diogenesa powiedzenia wybrzmiewają nam do dziś jako utwory społeczne. Moglibyśmy go nazwać Hamletem-filozofii, gdyby na myśl też samą nie wpadał był Plato, nazywając go „Obłąkanym-Sokratesem”! Wszelako omyliłby się bardzo, kto by Diogenesa poczytywał jedynie za improwizatora dorywczego i za bezkierunkowy jaki humor. On nie jest dotąd jeszcze obejrzanym w całości umysłu swojego. Zwłaszcza iż sam powiada: „Ja, przesadzając we wszystkim i pełniąc nazbyt – czynię to ku temu, ażeby ci, co przyjdą po mnie, nie potrzebowali pełnić nazbyt, lecz – w samą miarę...” Filozof, który to i z taką wyraża trzeźwością, nie jest samym tylko genialnym humorystą.

runki, to jest, ażeby człowiek był urodziwym i posiadał majątek (*sic*). – Jest to jeden z powodów, dla których mędrca tego pouczamy do nowszego okresu. C. N.

Lecz planetarna wartość wielkiej Diogenesowej gwiazdy mniej była i mniej jeszcze bywa ocenioną od jej błyskotliwych tęcz dowcipu. Na mędrca tym zamyka się ta filozofia, którą ja heroiczną nazywam. Wedle tegoż uważania mojego, filozofia ta nie zaczyna się wcale od Talesa, lecz od Ajschylosa dramatycznych przedstawień, gdzie wykladało się posady mądrości tradycyjnej i wypowiadało się idee postaciami, zaś zamyka się i kończy nie mniej dramatycznie, jak ją Ajschylos początkował, to jest zamyka się Dialogami-Platońskimi, tak iż to, co sztuka nieledwie techniczna w Sofoklesie ceni i podziwia, nie należy bynajmniej do filozoficznego pochodzenia i rozwoju myśli greckiej, lecz dla dziejów sztuki zostawa. Gdy tymczasem Platoński Dialog ludzi zwykłych, ludzi na ulicach Aten spotykanych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty wśród doczesnych i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linii ostateczną jakoby rzeczywistością onych dialogów olimpijskich Ajschylońskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze nie ma, lecz gdzie święte i mądre fala człowiekiem dla idei pogardziły.

Pogląd ten, osobistym moim będąc, może nie znaleźć usłuszenia, ale on usuwa na swoje miejsce pojęcia szkół, które sprawiedliwymi być nie mogą względem czasów, w których jeszcze szkół nie było i w których to, co później jedną ze szkół zowie się, było raczej powszechną ogólnością. Szkoły świadczą więcej o miejscu niż o ciągu rzeczy, a niekiedy są tylko nominalne.²

Także i dostąpiona z pochodzeniem czasów doskonałość specjalna (np. tragedia Sofoklejska) nie godzi się, ażeby przeto wstecznie upodrzedniać miała objaw pierwotny, bo ten pierwotny objaw, lubo zaczątkowy, miał także swoją doskonałość, będąc wyznaniem publicznym wiary i wiedzy swego czasu.

² Dla tak różnowzględnych przyczyn szkoły filozoficzne brały nazwy swoje, iż nie można wiele się na tym opierać. Np. szkoła eleacka (veliacka) dlatego, iż w mieście Velia trzech się filozofów narodziło było; szkoła eliacka (Fedona), która, przeniósłszy mieszkanie do Eretry, zowie się i eretriacką... Pojmujemy nazwę szkoły jońskiej dla wielkiej doniosłości żywiołu jońskiego – ale czy naonczas cała umysłowa Grecja nie była jońską?... Szkoła italska jest tak dalece szkołą samej wielkiej osobistości Pitagora, iż po śmierci jego wyprzedaje się z rękopismów za pieniądze... i to Platońska-Akademia zyskuje na owej pozgonnej likwidacji. C. N.

Czy przez przybliżenie (*a peu près*), jak pierwotni czynili, czy (jak po-Artystotelejscy) przez system otrzymuje się i udziela słuszniej światło i dobro?...

Oto jest pytanie etycznie, kardynalne i wprost podejmujące zacytów Diogenesa utysk względem akademickich pracowników, skoro, widząc ich prawdy szukających („*quaerere verum*”), słusznie wołał: „Kiedyż, oni czas będą mieli, ażeby znalezioną praktykować?!”

Zaiste, jak niebądź i czujnie, i współpracowicie oczekuje człowiek na owe, których dostąpić mamy, doskonałości, zaręczone nam postępowaniem, ulepszeniami potwierdzone i jaśniejące coraz nowym, coraz pełniejszym (lubo zawsze niewystarczającym) systematem, jednakowoż tenże sam człowiek i społecznie zajmuje przecież także żywe miejsce w codziennej dramie doczesności; a na jej powołania odpowiadać i dopisywać onym jest obowiązany. Miałżeby on przeto jedną wiedzę podrzędną i zdawkową na codzienne takie wypadki? – drugą zaś w zapoczątkowanych pracach ludzkości i jej spodziewaniu domniemaną? Jedną tymczasowo posługującą, drugą obiecaną... Stąd obiedwie niezupełnie trwale mu właściwe, obiedwie warunkowe.

Śród takich to wiedz i tak się znajdując postawionym, uważa człowieczeństwo za dobre używać częstotliwie, zamiast odpowiedzi, nie wypowiedzianych odwołów zdania, przemilczeń i niedogłębienia wątpliwych.

Atoli takowe właśnie że umyślnie czy przemyślnie nie wypowiedziane odwołki zdania, przemilczenia i niedogłębienia są przecież utajoną myślą, więc są tylko koniecznie niedopowiedzianym ciągiem rzeczy! ...

Czy system posiłkuje w czymkolwiek prawdę? czy sprawdza ją albo jej świadczy?... on, który zarówno rzeczom fałszywym, jak niefałszywym może służyć!... gdzie i po co wciąż nowe i zastępujące dawne systemata prowadzą, przewalając uprzedzicieli swoich?... Czy nareszcie system, sam w sobie uważany, kształci się także i postępuje?... Myślę, że nie! – albowiem system się budując na pojęciu zupełności, całości i harmonii, takowym brakować nic nie może; mógłby tylko na szerz postępować, coraz większą obejmując wszystkość następstw, pojawisk i szczegółów. I byłoby nareszcie do wnioskania, że ostatecznym dostąpieniem doskonałości systematu musiałoby być jego porównanie z systematem świata naszego. W tym wszystkim wszelako nic nam prostotliwie nie powiedziano dotąd, i dlatego z wątpliwością

wyrażam się. Wiem, że czemu niebądź system służy, zawsze on nie-
większą ani mniejszą częśćką prawdy obejma, to jest, że budując się na
pojęciu całości, zupełności i harmonii, juźci że wyrażać musi
ideę symetrii, miary i promienności... oto wszystko!...

Zaś co do działania przez przybliżenie (*approximative*), te wydawa
mi się być najwłaściwiej doniosłym atrybutem ducha ludzkiego. Nie
wiem, zaprawdę, czyli jest jaka forma działalności umysłowej odpo-
wiedniejsza położeniu naszemu, jak przybliżenie! Jesteśmy w każ-
dym zmyśle i rozmyśle naszym otoczeni kryształem przezroczystym,
ale u-obłądniającym poglądy nasze. Podobno że cokolwiek bądź czy-
nimy, zagaja się albo uzupełnia przez przybliżenie. Jesteśmy sami
poniekąd nie inaczej istniejącymi na wirującym Planecie szybciej od
uderzeń pulsu... A przeto można by nawet rzec, iż działanie przez
przybliżenie nie jest dla nas przypadkiem, lecz podbitym sobie wa-
runkiem.³ Stąd to, obejmując one – i jednocząc – dwa wielkie klejnoty
umysłowe, czyli: rozważę umiejętności i nierozważę instynktu
przyrodzonego, jest zupełnie człowieczym. Toteż my, tak rzecz
pojmujący, nie odpowiadamy przemilczeniami na pytania żywotne –
bynajmniej...

*

Po kilkunastoletnim pobycie w jednej z najświetniejszych stolic
Europy, kolega mój, gdy miejsce miał opuszczać i skoro już wszystko
do podróży przygotowanym było, rzekł był do mnie : „Oto będę miał
teraz nieco swobodnego zupełnie czasu, zechciej przeto o stosownej
godzinie czekać mię jutro w małym parku przed budynkiem głównej
Biblioteki – a ja będę się starał nadbiegnąć z jednej Czytelni (*cabinet
de lecture*) gdzie mam jeszcze z kimś spotkać się i na papiery potrze-
bne okiem rzucić – po czym zajdziemy też zobaczyć Bibliotekę... ina-
czej przecie wyjechać nie godziłoby się! ...”

W słowach tych, zupełnie naturalnych, cóż usłyszał każdy obecny i
wszelki współczesny? a co usłyszałby milczący przez lat parę Pitagorej-
czyk?... W tychże samych, mówię, wyrazach, które wszelako wystarcza
cokolwieczek odmiennym wygłosić nastrojem, ażeby się piorunującą

³ Godziłoby się zapytać czynnego generała, doświadczonego kapitana-okrętu, bie-
głego człowieka-stanu, do ila oni w głównych i stanowczych działaniach swoich
opierali się na bystrym *a peu près* a o ile na systematycznym działaniu? C. N.

stawszy satyrą, cały przedstawiły obraz błędu i nieszczęścia głębokiego naszej wiedzy i za nią idącej cywilizacji?

Toteż prostym i logicznym następstwem stało się, że kolega mój nie dopisał i spóźnił się. Oczekiwałem go spokojnie w przyjemnym cieniu bukszpanów, patrząc na małe dziecko złotowłose, bawiące się kamyczkami z piasku wygrzebywanymi ze starannością nieprzerwaną...

Skoro zaś oczekiwany wreszcie nadbiegł, już zaledwo wystarczyło nam czasu na obejście wokół gmachu Biblioteki i na architektoniczne uznanie jego zalet. Otóż! – mówiło się – skoro spójrzmy na te, szerokie uroszerzające się jeszcze bardziej masy pełnego muru, a spojrzymy ze stanowiska starożytnych literatur, czyli, że tak rzekę, kilku ksiąg sanskryckich i zendyjskich, kilkudziesięciu greckich i rzymskich, i hebrajskiej jednej i jedynej... zaiste, że sama się myśl, beznakłonnie ku temu, zapytuje, jeżeli nie: na czym skończyć ma ta nasza literacka płodność? – to : na czym ona zatrzyma się i w co się odrodzi?

Będzież potrzeba, ażeby być jako tako z gruba odczytanym, tyle pierw oczu sterać, ile ich zaniepodziewa w księgach swoich mandaryn chiński, do ostatecznego egzaminu przygotowujący się?!

Dziś – gdy jeżeli gdzie na przykład dziewięćset periodycznych pism wychodzi, to oneż dziewięćset dzienników daje tyleż romansów i powieści we feuilletonach, a przeto samych już romansów dziewięćset na rok, coś j jakby trzy na dzień, spotyka się... i to jeszcze w jednym tylko kraju Europy, i w jednej ze stolic!

Dopowiedzieć co rychlej przynależy, że to zawsze jeden tylko romans, ów ostatni, ów interesujący romans obchodzić winien, ów, co obchodzi wszystkich, i że to zawsze jedna tylko broszura, owa ostatnia, owa, która to zainteresowała wszystkich, ta jest tylko obowiązująca. I że nawet nie czytać można innych, a jednak być człowiekiem...⁴

Tymczasem niefortunnie rzucone i wdeptane w śmiecie osobistości, moralnie zaniedbane, przy bladej świeczce z trudem zakupionej, czytywać będą na dorywczo wpadłych im w ręce drukach to, co przypadek sam im nastroczył i w oczy cisnął przy zbytkowaniu i rozpuszczeniu umy-

⁴ Czytelnicstwo opieszale bywa naglonym napisami wykrzyknikowymi na rogach ulic: „Czytajcie to a to!!”, przy czym rodzaj ręki, z palcem wskazującym ów nakaz, w rysunku kolosalnym... rodzaj pięści ściśniętej... „Czytajcież!! ten albo ów nowy romans!” C. N.

słowej szczęśliwszych śmiertelników. I udarty jakiś kawałek papieru drukowanego świecić będzie tym chciwym rozwinięcia umysłowego oczom i sercom.

Atoli jak, według chińskiej karygodności, wybiera kat z podanego mu kosza pełnego nożów ten lub ów nóż trafem w jego rękę wpadający, a noszący na sobie napis: ucho, nos, oko, serce... i wedle takowego to napisu zakrwawia go na członkach skazanego : tak nieszczęśliwy ów a chętny ukształcenia umysł, tułając się za bezcelnie i bezszczerze postawioną pracą umysłową, natrafiać musi i natrafia na pojawy więcej daleko zakrwawień i ran niżli pojęć mu przynoszące !

W całości zatem naszej umysłowej rzeczy jest coś zfałszowanego, coś zakłamane go powierzchownie i nie znoszącego szczerych, prostych zapytań, jak to zwykło się zdarzać w fałszywych położeniach! Że albowiem wiedza dla użytku jakowego bieżącego uprawiona, zawsze, końcem końców, musi ostatecznie, nawet przez otrzymane swe rzeczywiste owoce, służyć wiedzy dla wiedzy, to jest tylko doskonałej architektoniki rzeczy umysłowych wpływem – lecz człowiek, w tym nic sam nie postanowiwszy, bywa tylko jakoby arcyinteresującą igraszką, ciekawości bezgranicznej!... Ciekawości, która, jeżeli wycofanemu z interesów i dostatnio postawionemu w rzeczywistości, a przyjaznemu wiedzy umysłowi może robić przyjemność umysłową (zwłaszcza gdy innych przyjemności tenże już nie używa), to niekoniecznie dawa się (mówię) sama ona bezdenna-ciekawość stawić rodzącej się, rosnącej i postępującej wciąż Ludzkości. jako jedyny umysłowego bytu interes.

Człowiek chce wiedzieć: gdzie? i po co pracuje myślą?... choćby tylko dlatego, że bez tej wiadomości niecała jego energia w dzieło zagaja się. Byłoby to zapewne czymś jak bardzo niegrzeczną rzeczą, gdyby kto do społecznego mędrca słowa te wystosował:

„Racz powiedzieć, Mężu! czy człowiek może wszystko wiedzieć?

Czy on oczekiwać na; aż wypojeżdżone umnictwa dokwitami swoimi ostatecznymi stworzą wieniec i koronę światła ? A tymczasem, czyli należy, ażeby codzienne jego życie świadczyła zastałym nałogom lub przesądom i posługiwało przyjętym hierarchicznie psychom? – Mężu! rzeknij...”⁵

⁵ Na pytania te ze zupełną prostotą gotowi jesteśmy od[powiedzieć i poniekąd dla umiejętnie czytających odpowiadamy na nie w ciągu niniejszego tekstu. C. N.

Para-baza takowa zaiste że byłaby rodzajem niegrzeczności, i to tym wyraźniejszej; że na samym wstępie (niniejszej części pierwszej *Milczenia* naszego) dostatecznie się udowodniło; jak dalece jest niepodobieństwem śpiącego „grzecznie” przebudzić.

DRUGA CZĘŚĆ, WŁAŚCIWA: GRAMATYCZNA, FILOZOFICZNA I EGZEGETYCZNA

II

Niech panowie gramatycy zechcą wytłumaczyć wszystkim lingwistom Europy i Ameryki, tudzież wszystkim osobom umiętnym: jak się to zrobiło, że cała jedna część-mowy jest opuszczoną we wszystkich gramatykach języków wszystkich?

Czy nie byłoby to z przyczyny, iż nie nazbyt często oneż gramatyki dają definicję-części-mowy?... –

Nic tego nie wiem... Sam zaś, o ile dane mi jest znać, głoszę, iż cała jedna mowy-część jest z dotychczasowych gramatyk wypuszczoną. I to ta, na której buduje się i osklepia frazes – a nie tylko nawet jeden frazes, lecz i następnego logiczne zagajenie, i trzeciego, i czwartego wątek etc. ...

Częścią tą mowy jest: przemilczenie... Montesquieu nie powiada nic nieznanego, skoro mówi, iż daleko więcej od mówienia wyrazić może i wyraża nieraz milczenie. Lecz otóż to jedno tylko gdyby jego było atrybutem i świadectwem, juźci że to, co od mówienia więcej wyrazić może, musiałoby być mówienia-częścią. Pretensja zdaje się być dosyć usłusznią!...

Milczenie więc, a mówiąc w zastosowaniu praktycznym: przemilczenie, jest niezawodnie częścią nowy. Prawda nazbyt duża, ażeby jej nie przeczuwali pp. gramatycy, i ażeby nie podejrzewali, że jest jeszcze coś semi-psychologicznego do objęcia; ale poczęli sobie oni w tym względzie najniezgrabniej i prawie zabawnie, bo uczynili częścią-mowy wykrzyknik! Zaś wykrzyknika nie tylko policzyć trudno do zasadniczych gramatyki posiadłości, z przyczyny że on jest po-zasadniowym, bo cały się na wyrzutniach i niegramatycznościach buduje, ale i z tej, że właściwie mówiąc, tylko tam brzmi wykrzyknik, gdzie nie jest deklamacyjnie zastrzeżonym i nakreślonym, lecz gdzie

się on sam z ustroju słów gwałtem wyrywa... Są wprowadzicie osoby, które dwa i trzy wykrzykniki w jeden punkt kładą, ale to nic wcale rzeczy nie pomaga, ani nic w niej nie wzmacnia.

Co więcej, wykrzyknik nie tylko powodować nie zwykł następstw budowania wypowiedzeń, lecz właśnie że on je zatrzymuje i urywa. Nie można więc było niewłaściwszego zrobić wyboru.

Inaczej jest zupełnie z przemilczeniem, które (według mojego twierdzenia), będąc żywotną częścią mowy, daje się naprzód w każdym zdaniu wyczytać, a potem jest logicznym następnego zdania powodem i wątkiem. Tak iż to, co drugie z porządku zdanie głosi i wypowiada, było tylko co pierwszego zdania nie wygłoszonym przemilczeniem, a to, co trzecie mówi zdanie, leży w drugiego przemilczeniu, a co czwarte, w trzeciego... i tak aż do dna treści, która tym dopiero sposobem jest rzeczywiście wyczerpaną na mocy logiki w takowym procesie dotykalnie objawiającej się.

Panowie gramatycy zaprzatać się zwykli jakąś abstrakcyjną mową, której nie ma. Mowa, dlatego, że jest mową, musi być nieodzownie dramatyczną! I jakże byłaby inaczej mową? Monolog nawet jest rozmową ze sobą albo z duchem rzeczy.

Zdania tak abstrakcyjnie blade, które by wcale nie przynosiło ze sobą przemilczenia, prawie niepodobna jest wymyślić! I gdyby się takowe złożyć udało, to musiałyby być nie należącym do ogółu żadnej żywotnej mowy.

Skoro mówisz

„Jakże mi się miewasz, przyjacielu?” – przemilczane w tym jest:

– Dość dawno cię nie spotkałem lub nie widziałem, ażeby tym żywiej zapytać: „Jakże mi się miewasz, przyjacielu?” A te to przemilczenie wstępne będzie zaraz wygłosem zdania następnego, i tak dalej.

„Jakże mi się miewasz, przyjacielu, albowiem dość dawno nie widziałem ciebie, ażeby tym żywiej o to pytać?”

Podobnie i w następnym zdaniu:

„Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu” – przemilczane jest:

– Przedmiot każdy ma sobie odpowiedni stopień światła, pod którego wpływem najstosowniej przedstawuje się – a przeto:

„Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu” itp.

...

Czyli toż samo wybrzmi przy następnym rozwinięciu rzeczy i przy stopniowej przemianie przemilczeń na wygłosy:

– Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu, każdy albowiem ma sobie odpowiedni światła stopień, pod którego wpływem się najsłuszniej przedstawuje itp....

Z tej to pochodzi właśnie przyczyny, co Monteskiusz za innymi powiada o wyrażenia mocy właściwej przemilczeniu. I tę to więc moc jużci że posiadać musi przemilczenie, skoro (jak okazaliśmy wyżej) radykalny ma związek tak z każdym pojedynczo zdaniem, jak i z całością budownictwa mowy. Czyli że, nie będąc pierwiej do tyła istotną częścią mowy, jakże by cośkolwiek bądź uwyraźnić było w możliwości?...

*

Gramatyczne i logiczne nasze w tym przedmiocie poglądy, cokolwiek może skąpo, lecz stosownie do objętości niniejszego pisma, na tych to skreślonych powyżej zamykając – przejdźmy do egzegetycznej i filozoficznej tegoż obrazu części.

*

Filozoficzne Pitagorasa, milczenie (a którego znaczenia dotąd nie wyjaśniła żadna egzegeza) przychodzi nam tu opowiedzieć i sprawozdać na mocy osobistych naszych poszukiwań. Niekoniecznie dlatego, ażebyśmy te milczenie mieli za Pitagora i jego zwolenników pomysł i wynalazek, tylko z tej przyczyny, że do nas doszła wiadomość o nim przez tę drogę, bo my przez historię pitagorejczyków o tej praktyce dowiedzieliśmy się. Rzecz zaś sama ani nawet egipską, nie tylko grecką i pitagorejską, nie jest, lecz z najstarszych azjackich religijno-filozoficznych teorii i praktyk płynie, a dopiero zaczerpnął jej był Pitagor w Babilonie za czasu swej i wędrówki, i niewoli.

Lecz czy nawet dziś, przy zupełnym rozbałamuceniu czytelnictwa, może znaleźć-się taki lekkomyślny-czytelnik, który by przed oczyma mając, że italskiej szkoły Mistrz żądał był od poczynających uczniów dwa, trzy, pięć i siedem lat milczenia, nie zastanowiłby się na chwilkę, iż tenże nie mógł przecież z onymi uczniami swymi jak oficer z niedawnymi jeszcze żołnierzami rosyjskimi lub pruskimi postępować, samym rozkazem nagim rządząc się, ale że musiał on zalecenie takowe,

ą nie najponętniejsze, jakimś usłusznieniem zadatkować.⁶ Wypoczęta od zewnętrznych nadużyć i w normalny wprowadzona stosunek harmonia pomiędzy uchem zewnętrznym a wewnętrznym, pomiędzy patrzeniem optycznym a widzeniem – niemniej dotykaniem, niemniej smakiem... słowem: odbudowanie całej postawy zmysłowej człowieka, długim spokojem milczącej ciszy pozyskane, nie wiem nawet, czyli być by mogło wystarczającą zapowiedzią...

Myślę, że nie... myślę, że egzegeza tej ciemnej treści takie tylko dająca tłumaczenie byłaby przestającą łatwo na nabytkach nieco podrzędnych. Tam – to jest pomiędzy Mistrza wnioskiem a przystępującego doń wolą – szło o coś pełniejszego od dyscypliny rad, o coś tak bezpośrednio żywego, iż tym samym zakłóć dawało się częśćkę życia człowieka rozumnego i onaż umartwić. O co zaś szło tam?... podobno, iż mnie zakrytym nie jest –albowiem dość uważnie poszukiwałem tego – lecz ażeby tak niemną sprawę bezpiecznie wypowiedzieć, należy się mnie poniekąd aż do mojego osobistego przekonania filozoficznego pierw urzetelnić.

Te jest: iż ja nie myślę; ażeby wystarczyło człowiekowi, gdyby on wiedział wszystko! Myślę, owszem, że człowiek potrzebowałby zawsze więcej...

(Jak to? więcej niż wszystko?!...)

– Człowiek potrzebowałby (mówię) wiedzieć, każdej pory, doby, i chwili, i okoliczności, wszystko to, co w tych razach i względach wiedzieć on, jako on, powinien, i jako społeczeństwa ludzkiego członek.

To zaś wydawa mi się być więcej niż wszystko, albowiem toć jest wszystko więcej znajomością i samej niewiedzy, i jej pomiaru.

Za dostojniejszą rzecz uważając otwarty we filozofii błąd niż trującą umysły nierzetelność, wypowiadałm zdanie moje prostotliwie. Zaś te podzielone (lubo i wyjaśnione przeze mnie) pojęcie było właśnie że pojęciem onej heroicznej filozofii, o której misteriach gdy się tu rozpoczęło mówić, wypadło nam przypadkiem nie utaić wyznania osobistego.

⁶ Głosi się wprawdzie, iż Pitagoras względem uczniów swoich używał słowa-władzy mistrzowskiego, a co wśród kilkuset osób razem żyjących mogło mieć swoje administracyjne zastosowanie. – Lecz tego inaczej u „PRZYJACIELA MĄDROŚCI” brać nie można. Mowa zaś jest o przystępujących do pitagorejskiej inicjacji, nie o spółzamieszkających. C. N.

Obraz albowiem takowy poszukiwanej dawno mądrości może dałby się i dziś tym usłusznąć, iż jeżeli widzimy, że przy spólcześnie panującym podziale na umiejętności ten albo ów specjalny pracownik stawia się z czasem jakoby doskonałą maszyny częścią lub wytwornym narzędziem, tedy dlaczegoż by teje samej wprawy nie nabierał i ogólną treść prawdy praktykujący umysł całego człowieka wedle maszyny ogólniejszej?... Myślę, owszem, iż tam nasza podzielona na specjalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak, jak cząstkowość specjaliści, uwłaszczyc sobie ona biegle potrafi niecząstkowość...

Dostąpienie przeto, zbliżenie się albo zbliżanie do kanonu wiedzy określonego i uczytelnionego powyżej było zapowiedzią obiecalną przedsięwzięcemu milczenia praktykę przyjacielowi wiedzy, a którą zalecano i praktykowano dawno w pierwszych i nieledwie że najstarszych azjackich proroczych szkołach.⁷ Ezechiel tegoż samego dotknął był, i tak samo w Babilonie, jak Pitagor. Co do swojej idei, budowała się rzecz ta na pojęciu paraboli w najgłębszym i w najszerszym onej znaczeniu; zaś co do praktyki, szło o osobiste zastosowanie ustatkowanego swojego myślnego organizmu do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia monologu-wiecznego, i to na takie zbliżenia lub oddalenia, do jakowych ta albo owa osobistość rzetelnie się mogła była doprowadzić... Wytłumaczmy się więcej szczegółowo:

Pochopnie, lubo nie najrozważniej, mówi się, że: „parabola nie dowodzi niczego...” Juźci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest dowieść, ale u-oczywistnić – jedna zatem parabola oczywistni, lecz wszystkie razem uważane parabole nie tylko że dowodzą, ale dowodzą one tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tym!... Dowodzą one albowiem analogijnego stosunku pomiędzy prawami rozwoju rzeczy świata tego a prawami rozwoju ducha...

Stąd to i logicznie podejrzewany monolog-nieustannie-się-parabolizujący juźci że, jednym ze źródeł żywych prawdy będąc, udzielać się miał i mógł na takowe oddalenia albo zbliżenia, do jakich kto osobistym własnego milczenia monologiem rzetelnie się doprowadzić starał i potrafił. Dochodziliż tam monologięści-milczenia? – juźci że dochodzili, skoro dobrze przed Pitagorasem, i nawet dużo póź-

⁷ Podobno dopiero za panowania Ozjasa stanowi się epoka istotnej jawności proctw przez harangi zupełnie publiczne i przez pismo. Uprzednia zatem epoka nie taką samą musiała być. C. N.

niej, niektórzy wcale do używalności mówionego słowa nie powracali, daleko więcej (stosownego czasu) wypowiedając przez łada drobny potoczny gest: przez upuszczenie lub podjęcie kamyczka z ziemi, uszczknięcie listka, dotknięcie jednym palcem rzeczy jakiej pobliskiej. Widoczna w tym, jak dalece oni życzyli byli sobie na parabolizującym się jakoby bezwzględnie duchu opierać, mimo steru pojedynczej człowieczej myśli. To tak i tu tłumaczy się i owa pozorna ciemność wyrażań, i tajemnica rzeczy, i Pitagorasowi przyznawane atrybucje fantastyczne: czy to słyszenia harmonii światów przez rytm obrotu ich, czy to rozumienia się ze zwierzęty i pojęcia-pieśni stworzenia bezmownego...

Wybłąski te geniuszu i te cudowności mogli biografowie anty-Chrystusowi przeciwstawiać, i przeciwstawiali, żywym jeszcze bardzo spomnieniom na Wschodzie osoby, czynów i wędrówek Zbawiciela-świata; lecz, końcem końców, trzeba przecież je było z jakowegoś możliwego dykcjonarza wyciągnąć, który względne swoje istnienie musiał być mieć. Monologisci-milczenia mniej zapamiętali, późniejsi, i którzy przy zadaniu ducha ogólnym uprawiali zarówno wyłączne gałęzie wiedzy (a przeto może lepiej obejmowali ogół, iż zarazem i onegoż szczegół uznawali), dochodzili byli do tejże samej furii profetyckiej, lecz jedynie we wielkich zdarzeniach wyjątkowych.

Za czasu bardzo wszechstronnej krytyki i zapewne niemałego światła (bo za czasu Sokratesa), kiedy jednakowoż lud ateński znalazł się był pod wpływem jednego z tych gwałtownych zawichrzeń sensu publicznego, które z wielkim i chełpiącym się zapalem ojczyznę jak najprostszą drogą do zatury prowadzą... kiedy (historyczniej mówiąc) szło o wydanie i prowadzenie zgubnej wojny na morzu i na lądzie przeciw Syrakuzie i Sycylii, a szał był tak za wojną, iż mało kto na umiarkowańsze zdania świątleszych oglądał się – człowiek umiejętny i trzeźwy myślą, astronom i matematyk Meton (reformator greckiego kalendarza i który pierwszy o liczbie-złotej pomyślił) nie zabierał głosu wśród zgromadzeń, lecz podniósł się milcząc, a ujawszy pochodnię rozgorzałą własny dom swój podpalił!... Haranga żadna w najwymowniej patriotycznych ustach nie mogła być ani lepiej sytuacji politycznej Aten skreślić, ani jaśniej rezultatów zamierzonej szalenie wyprawy wojennej ludowi przedstawić!... A lubo naturalną jest rzeczą, iż natychmiast wielu uważało astronoma za wariata, tak samo jak niemało uważało było dawniej Ezechiela za obłąkanego, nie przeto jednak i jednego, i drugiego prorokowanie doszło jednakże do nas.

Do teje samej należy się tradycji ów, lubo niezmiernie późniejszy, prorok, który, napotkawszy jadącego do Rzymu Pawła (świętego), zdjął ze siebie pas i spętał się sam, dając przez to widzieć, jakie w Rzymie przyjęcie na Apostoła oczekuje? Szkoły teje samej można by się i dziś, lubo w bardzo grubych już kształtach, dopatrzeć, skoro by się uważnie i głęboko pomiędzy społecznymi Cyganami poszukało⁸ – zaś podobno że w Persji estetyczne tradycje w tej mierze dochowały się jeszcze i są wyrażane przez poszukujących ile tylko można najmniejszej liczby słów do powiedzenia jakiej treści. Lakonizm albowiem, i nawet monumentalny rzymski styl, nie skądinąd biorą swój początek i wypromieniają się.

Egzegezy pod tym względem czynione, jakie posiadamy do dziś, są gorzej niż niegodne przedmiotu.⁹ My tu jednakże ograniczać się powinniśmy, nie tylko na samą odpowiedniość proporcji tego szczupłego fascykułu pamiętając, lecz spominając sobie zarazem i naszego zacnego, a nawet umiejętnego przyjaciela, któremu jednakże, po wieloletnim pobycie w jednej z najgłośniejszych stolic cywilizacji; tyle zaledwo starczyło było chwil swobodnych, ile ich potrzeba, ażeby choć zewnętrznie gmach Biblioteki obejść i budownicze wartości jego ocenić lub podziwić. Pamiętny to, zaiste, acz małeńki wypadek! albowiem najniewinniej u-parabolizował mi był istotne publiczności społecznej obcowanie ze sferą wyrobów umysłowych, i upomniał, do ila nierozwlekłym być wypada... nie-romansiście! . . .

Tego też dnia, a już wieczora, skoro raz w szczupłym parku zaczęło się było przechadzkę, wyprowadziła ona nas daleko poza miejsce dla Biblioteki okoliczne, i znaleźliśmy się na wyniosłości, pod której pierśią szeroką przepływało lub wrzało całe ogromnego miasta życie. Imponującym bywa; bo upajającym, ów gwar szeroki, który, urabiając się ze wszech wydźwięków wszystkich działalności i energii, śpiewa sam sobie nieustannie: „Takich to, jak ja, pięć, sześć na świecie dziś... to – cała cywilizacja jego, i wartość, i siła!”

⁸ Cyganie bardzo się kryją z ich rzeczywiście starożytnymi tradycjami, a te w zrubasznionych wielce formach i szczupło u nich znajdują się; lecz gdy z jednej wsi byli gwałtownie wyganiani i gdy ogniska zalano im, stara drżąca Cyganka powróciła, wzięła zimny jeden węgielek i schowała go w swoje napierśne odzienie. Kmieć sędziwy, to widząc, rzekł: „Trzeba niezbyt twardo ludzi tych wydaleć, bo mogą być pożary w okolicy...” C.N.

⁹ W autobiografie brak odpowiedniej noty autorskiej. (Przyp. edyt.).

Jest-ci podobno tak, zaiste, że kilka ogromnych i nieustannych gwarów kilku stolic stanowi o żywotności historycznej i moralnej naszego świata; lecz gdyby się na te huczące morza działalności i energii rzuciło naraz z góry onymi wielkimi liniami, których zarysem i proporcją zwykł był Ajschylos postaciom dwóm urabiać z narodów i krocioń, jakież by tu z tego, na przykład, szerokiego tłumu i gwaru zgarnęły się kształty umysłowe? I tak sprawiedliwie otrzymane, jako je Ajschylos otrzymywał, to jest, ażeby postać, milionem będąc, milionów wypowiadała ściśle, nic poza sobą nie roniąc, lub może tyle zaledwo, ile na upostaciowanie odpowiedniego chóru jej potrzeba...

Spróbujmy!...

*

Jużci ten ogromny gwar i tłum zgarnąłby się naprzód w umysłową postać jedną, która nic innego, nic wtórego, nic godnego względu nie zna, nie dopuszcza i nie poczuwa oprócz swojego własnego i swojej pasji interesu. Kryć tego ani ważna, ani godzi się – tak jest.

Postać ta znamienita ogarnęłaby i wyraziła większość masy wznoszącej i żywiącej ów kolosalny gwar stołeczny. Postać umysłowa, która, pod jakimkolwiek tonem i formą porusza swe płuca i wargi, nic oprócz interesu swojej pasji nie wygłasza, nie uwzględnia i nie dopuszcza.

Czy ten głos jest harangą parlamentarną, czy filozoficzną apostrofą, czy niewinną romansu formę przybierze, wsłuchaj się weń głębiej i spokojniej, a nie napotkasz nic innego, oprócz monologu pasji swojej i swego tylko interesu. O ile tym dwóm odbrzmieć może w czymkolwiek ktoś inny, czyja inna sprawa lub interes, albo myśl, o tyle onymi zajmie się jeszcze ów osobisty monolog, ale zajmie tylko o tyle, i przeto, we wszystkości rzecz swą jedynie ważąc, nie wychodzi on nigdy ze swego punktu-wyjścia!...

A nie wychodząc nigdy ze swojego punktu-wyjścia, jużci że jest zawsze na miejscu. Tak iż ludzeniem tylko optycznym powinien być ruch tej postaci... A nie obejmując z całej wszystkości nic, prócz tego tylko, co do niej się odnieść może, jużci że nic taka dążność umysłowa nie świadczy i nie wypowiada dla prawdy bezwzględnej – ona ani jednego słowa nie dadawa do wielkiego bez-interesu wiedzy i uczucia, tak iż złudzeniem akustycznym powinien być być we większej swej

połowie kolosalny ów gwar stołeczny, z którego całokształt jeden właśnie podjąwszy, rozejrzeliśmy umysłowy jego charakter.

Drugim zaś kształtem z połowy drugiej tłumy i gwary stołecznej, ogarniętym w nie mniej kolosalną postać, byłby znowu umysł poszukujący jedynie, ażeby być upodobanym względem mody czasu swojego i ażeby podobać się... Ten, nim otwiera usta, już odczytał pierwsze mniemania i dopowiada tylko do nich zdania swoje, poczucia swe do cudzych układu, myśli swoje z domyślonymi w drugich myślami wiąże – a jeżeli pierwszy nigdy swojego punktu wyjścia nie opuszcza, to ten drugi nigdy go wcale nie miał. Pierwszy jest rozwijającym się nieustannie personalizmem – drugi bezświadomą albo przemyślową asymilacją.

I oto są dwie postawy wielkie cały ów ogromny gwar stołeczny, gwar nie bez przyczyn przypisujący sobie siłę cywilizacyjną, wyrażające. Zaiste, nie nazbyt wysoko potrzeba się wznieść, ażeby, nie usłyszawszy tam ani jednego słowa dla prawdy bezwzględnej i dla bezinteresu uczucia podniesionego i wygłoszonego, pomyśleć słusznie: jakże wielkim jest albo bywa milczeniem ten, lubo taki ogromny, gwar i zamęt?! ...

III

Gdyby literatury ludów nie były żadnymi ogółami myślnymi, intuitywnie zadatkowanymi, lecz żeby się one przez stopniowany dorobek zyskiwało w miarę wzrostu i wydojrzewania człowieczeństwa, tedy dzieła pierwsze musiałyby być pokarmem dziecięcym, i dopiero o wiele późniejsze męskim. Tedy głębokie hymny, tedy moralne poważne zdania w rym ujmowane nie byłyby na początku literatur, ani sama nawet potężna epopei istota tak wcześnie rodziłaby się.

Tymczasem nawet najrozsądniejszy z mędrców starożytnych Kung-fu-tseu (Confucius) właśnie że swoją, a prawie już ministerialną prozę czerpie z hymnów i pieśni początkowych, i właśnie że z epoki onej, w której winien by był człowiek zajmować się bawidłami dziecięcymi.

Rubaszniej wyrażając się (bo spółcześni chcą tej jasności stylu, która jest rubasznością), można by rzec, iż powinny by być na początku literatur książki dla dzieci, gdy tymczasem jest przeciwnie: utwory albowiem nacechowane solennością i uczuciem wielkości są otwierającymi rzecz umysłową.

Mają one, lub miewają, coś naiwnego, lecz nie początkującego dziecinie, tylko jakoby coś dziedziczącego z charakterem synostwa-boskiego.

Nieobecność-prozy jest pierwszym wielkim pojawem na początku wszystkich literatur. Człowiek od pierwszego na świat kroku wchodzi jak, zupełna postać umysłowa: jest poetą! I innego my umysłowego człowieka gnie znamy udowodnie na początku dziejów, jedno poetę!

Trzymając się przekonania, że wielkie charakterystyczne zarysy i linie, skoro są ze znajomością rzeczy i sumiennością kreślone, daleko są i trudniejszymi, i więcej kosztującymi pracy i czasu, i korzystniejszymi dla czytelnika niż drobiazgową jaką egzegeza bardzo wątpliwych, nigdy niewystarczających, a ciągle zbytecznych fragmentów – zamiast co zaprzętałibyśmy się, czy rzeczywiście Orfeja dziełami są ułamki, które może Linus, Muzajos, Eumolpus albo Amfion był utworzył?... właściwiej godzi się nam światło rzucić na niejasną sprawę chronologii względem żywiołów. My np. mówimy: Hezjod i Homer, ale żywioł, który przedstawuje i urabia Hezjod, jest: o bardzo i bardzo wiele od żywiołu, którym technie Homer, starszym, tak iż obok siebie dwóch tych poetów stawiać, jednego po drugim trza pojmować. Jakkolwiek bądź, psalmistowski Hezjoda żywioł poetycki może jeszcze nie tylko bardzo późnego (porównawczo) Pindara dać, ale nawet aż wielką obrzędową pieśń Horacego!

Żywioł że parę epok przetrwać podola, usunawszy się z pierworządności i stosownie sobie temperamenta ras jakich objawszy, pogodzić jest trudno następstw[a] żywiołów z chronologicznymi warunkami i względami. Nie półmityczny Orfej, Amfion etc. ... nie sam teologiczny Hezjod, ale Tales-Gortyński (nie filozof Tales z Miletu) powinien by oną poetycką epok pierwszą umysłowej człowieka działalności w Europie przedstawować. Tales z Gortynu albowiem był jeszcze zarówno: muzykiem, prawodawcą i lirycznym poetą!... I Amfion, i Orfej w tychże pojednaniu atrybutów czerpali natchnienie, lecz drugiemu męczeńska śmierć przerwała była wcześniej rozwój zadania. Orfej jest rozszarpanym dlatego, iż światu północnemu przyniósł ewangelię indywidualnej miłości kobiety, czyli promień myśli i życia bardzo późno przez ludzi zapoznawany, jeżeli nawet u daleko czytelniejszych Semitów dopiero *Pieśń nad pieśniami* (Salomonową zwana) ewangelię tę podejma. Pierwej żeni się bardzo stosownie przez zaufanego posłańca lub wiernego sługę, albowiem idzie nie o więcej,

jedno aby osoba miała tę gładkość, którą powoduje zdrowie, tudzież aby z zacnego była rodu, z cnotą dziewiczą i z wyglądaną bardzo płodnością macierzyńską. Rzeczy te doświadczony a serdecznie życzliwy służący gdy mógł sam ocenić, nic nie pozostawało do życzenia.

Takowego wszakże pojęcia o małżeństwie ostatecznością krańcową musiało być i bywało przynajmniej razdoroczne pomieszanie wszystkich małżeńskich atrybucji w czasie nocnego obrzędu rozpustnego. Indywidualna albowiem kobiety miłość nieznaną i nie uznawaną będąc, pozostawała tylko przyrodzona płciowa ogólność. Ten to prąd pojęcia i energii rozszarpał Orfeja...

Powracamy do wzwyż powiedzianego określenia, iż pierwotny umysłowy człowiek jest poetą. Żal nam wielki, że ciemne i mało rozwikłane są wiadomości o trwaniu żywiołów, ich sukcesjach i procesjach, i o warunkach chronologii względem tak różnostałych zjawisk. Życzylibyśmy sobie albowiem to samo, co okazaliśmy że wyłożyliśmy w części gramatycznej, przeprowadzić jednym i równym krokiem w niniejszą część historycznie-literacką, okazując dowodnie, że tak samo, jak we składniowym budowaniu się zdań: pierwsze zdanie osądza się przezniłczeniu, które następnego logicznie zdania stawa się wygłosem, a przynosi ze sobą drugie przemilczenie dla następczenia wygłosu trzeciemu zdaniu i tak dalej... Tak samo (mówię) i we wielkich umysłowych wyrobach wieków i epok to, co było przemilczeniem całego umysłowego ogółu jednej Epoki, stawa się wygłosem literatury Epoki drugiej następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi jeszcze następny, swoje znowu dla trzeciego przemilczenie ze sobą wnosząc.

Prawo przeto maleńkie, które odkryliśmy i podawamy, jest zasługującym na uwagę, albowiem okazuje się być całym i na rozmaitych polach zarówno żywym. Onego pierwo-umysłowego-człowieka-poety dziełami pierwszymi są dumania, są inwokacje – ten wyraz „Muzo!” jest tylko ostatnią kartką wielkiego-psałterza, a która się dochowała przez swoje ze wstępem do dzieł drugiej Epoki zjednoczenie. Inwokacje takowe, Boskiego wyglądające sprawowania, brały udział we wszelkiej działalności i psalterz one nie miały stanowiły... Niczego albowiem bezpośrednio działalność człowieka nie poczynała była –

Zeus zawsze i zewsząd najpierwszym jest,
I ostatnim, i środkującym – on z płomiennym
Piorunem powstał i zeń jest wszystko:

Podstawą on ziemi, on nieba jasnego osią,
On Monarchą zupełnym, bo Niszczycielem i Stwórcą!
(Według tradycji orfeickich)

W powyższej Inwokacji – i o ile ona całą jedną epokę dumań wyraża –zapytujemy przeto (według naszego prawa), co stanowi przemilczenie? co, tam nie wypowiedzianym będąc, ma przez to samo dać epoce następnej wygłos i postawę?...

Jużci widoczna jest, że w Inwokacji powyższej – i o ile ona wyraża całą jedną epokę– przemilczanym jest człowiek, albowiem Zeus ze wszech miar i względów wyręczył wszystko. Człowiek, praca jego, walki, cierpienia i doświadczenie, i rozwinięta w nim siła zaradczości, to wszystko, będąc przemilczanym, daje dla następnej epoki wyrobu umysłowego zgotowane miejsce na Epopeję...

Dlatego też ostatnia Inwokacja z epoki inwokacyjnych-psalmów, lecz pierwsza z epoki następnej, brzmieć będzie:

„Człowieka (teraz), o! Muzo, wypowiedz, którego zmysł musiał się ubogacić, gdy po zburzeniu świętego miasta Troi błędząc, poznawał on ludzi, obyczaje i narody – Człowieka, który cierpiał w serca swoim... i narażał się na morzu, i nie dla siebie tylko, lecz ażeby i towarzystwo ocalić. A pociechy nawet i tej ze zbawienia bliskich nie miał, gdyż dla głupoty własnej poginęli!... „

Po legendowej, po cudownej pierwszej inwokacyjnej epoce, widzimy zatem, jak się jawi i wygłasza Epopeja przez same przemilczenie – lecz ten znowu śliczny całokształt epopei cóż on dalej (zawsze według naszego małego prawa) przemilcza? – i co zatem przemilczenie owe, w łonie epopei niesione, dać ma jako zasadniczy wygłos trzeciej Epoce? Słowem jednym: co ta trzecia Epoka będzie?

Jużci że bohaterowie Epopei swoimi olimpijskimi kroki przekraczają właściwą prozę historyczną, interesa państw i narodów, tudzież warunki polityczne i finansowe etc.... a która to istotnie proza historyczna jest tym przemilczeniem, na jakim się piękna i bujna postać Epopei właśnie że dlatego wznosi, iż do onej poziomej treści historycznej nie zniża się. Epopeja zatem koniecznie przemilcza istotną historyczną prozę, a zatem (stosownie do naszego prawa) po epoce Epopei, czyli skoro ta już się zbierze w całość i utwierdzi pismem, i nieco książką zacznie być, następuje przemilczane w Epopei-łonie dzieło Historii.

LEGENDA (cudowna), EPOPEJA, HISTORIA – – oto, co już widzimy z rozwoju myśli człowieka i z następstwa przepowiedzianego epok,

Historia wszelako, mimo zstępującego na szeroki poziom żywiołu swojego, czyliż i ona miałaby się jeszcze na przemilczeniu uzasadniać i takowe na wygłos dla następnej epoki przynosić? juźci że tak, i to nawet dosadniej niżli gdzie indziej, bo bywały nawet umyślne zatajennienia intryg, które we sto lat dopiero później uczytelniały się!... Historia przemilcza to, na co wystarczającego wyrazu jednego znaleźć trudno, .ale co ze stosownymi komentarzami nazwać godzi się... Anegdota.

Tam są tajemnice psychologii dziejów, biografii, niezmiernie ważne częstotliwie, lecz za małe i za mnogie dla historii, i ona je przemilcza, ale one na dnie anegdoty czekają fatalnej godziny swojej, albowiem po epoce tej, którą Anegdota zowiemy, jest Rewolucja!... I oto, jeżeli nasza prawda-milczenia nie jest błędem, tedy umyślowego tok rozwoju dawa następujące periody:

Legendę – Epopeję – Historię – Anegdotę... Rewolucję. Tego ostatniego wyrazu nie należy tu brać z żadną wyłączością. Tym bardziej iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów.

Anegdota dziś wydaje romans i powieść, i cały ten rodzaj pobieżnej literatury, której żywiołu właściwa historia nie obejma. Za Augustów cesarskich anegdotą były cztery-Ewangelie, czyli najpierwsza, jedyna i arcydzielna książka popularna!

(Niechaj się nikt nie gorszy, iż spominamy tu Ewangelie jako książkę, bo godzi się uważać, iż gdyby Ewangelię należało brać jak Koran, tedy byłaby jak Koran jedną i właśnie przez to błędną, że jedną... Zaś jest Ewangelij najmniej cztery, z powodu, że każdy Ewangelista życzył sobie całej i lepiej to, co mu znanym było, wypowiedzieć, a przeto świadectwo i kontrola miały tam miejsce jak względem książki wszelakiej.)

Nieumiejętnie także przeciwstawiono założeniom naszym o milczeniu całą jedną literaturę w jednej książce, to jest Biblię. Należy pamiętać, iż period Mojżesza nie jest wcale początkiem dziejów hebrajskiego narodu, lecz owszem, że Mojżesz jest już od-rodzeniem – reformą – rewolucją. Cały z anegdoty i biografii wyrósł i jest wielkim, boskim powstańcem. Przed-Mojżeszowy i aż do-Mojżeszowy zatem period obejma wszystkie te cudowne, heroiczne i historyczne

żywioty, które w postępowym rozwoju zaznaczyliśmy. Gdy, od Mojżesza znów spojrzawszy, widzimy wcale nie inaczej rozwijające się myśli, uczucia i sprawy. Oto najprzód cudowna-legenda misji Mojżeszowej i świętych dumań jego – dalej ludowa Epopeja za *Sędziów* – Historia z *Królami*, a z *Eklezjastą* Anegdota, i nasza wielka chrześcijańska Rewolucja, która, dla wyjątkowego czasu owego i dopełnień się, jest Rewelacją!

Z administracyjną jakkolwiek wyrażnością nie można ze wszechmiar linii kreślić na mocy naszego punktu-wyjścia, jednakowoż oko jasne tymi samymi pozna być periodami pojawiska w literaturach wszystkich spotykane. Rzymian powszechnie krzywdzą, narzucając im pięć wieków literackiego niemowlęstwa, a nawet i kiedy prawo dwunastu-tablic jako najstarszą rzecz cytują. Tak się wcale nie godzi, tylko my niezupełnie jasno wiemy, jakie było umysłowe życie pod bliższym wpływem tych sybilińskich ksiąg, które zbyt łatwo opuszczamy ze względu. Co więcej, że i prawo dwunastu-tablic nie jest bez pośrednictwa decemwirów upowszechnione. Virgilius jest niezmiernie oględny i sumienny w tym wszystkim, co sakramentalnego z obyczajów starych podnosi, otóż te uwyrażnienie, jakie on dla wierszy sybilińskich dodaje, że umyślnie były rzeczy nie pisane, lecz przez oralne staranie wybranych mężów w życiu utrzymywane, aby tym wierniej przechowywały się i udzielały, daje zaiste do myślenia, iż cała ta epoka, za literacko głuchą i jałową uważana, niekoniecznie takową mogła być.

Spółcześni literaci ze zbyt wielką łatwością uważają nieobecność atramentu za nieobecność wszelkiego umysłowego rozwinięcia... Epika uprzednia względem tryumfalnej epoki literatury rzymskiej, a uważanej za po prostu przejętą od Greków, nie była wcale taka jałowa, pusta i głucha. Myślę, owszem, iż dlatego tak szybko doszło się do stopnia arcydzielnego we większości kart *Eneidy*, iż to wszystko pierw było w kronikarskich rapsodach, a dlatego wszystkość *Georgik* jest tak niezrównanym arcydziełem, iż uprzedziły je niemałe o rolnictwie zapiski i dzieła!

Podobnie jest z każdym innym żywiołem, albowiem okres jakkolwiek nierozgłośny, ale który może mieć sybilińskie-rzeczy i kolegium do onych przechowania, tudzież dwanaście-tablic i kolegium je strzegące, a nade wszystko zupełnie nowy i twórczo sobie udziałany typ w tak zwanych „Soturach” (późniejszych Satyrach), okres, mówię, taki nie tyle zapewne jest bezliterackim, ile my bywamy bezroz-

ważni, skoro lekko o nim mówimy. Nadto Sotury, czyli Satyry, wchodzi według zarysu naszego w epokę Anegdoty, czyli w zaranie rewolucyjnego obrotu całej umysłowej karty.

Gdyby perturbacje w tej naszej smętnej historii nie były tak częste i szerokie, tudzież gdyby żywioty etnologiczne nie przeżywały nieraz epok i przeto nie nadwerężały porządku chronologicznego (a o czym się już wyżej nadmieniało), tedy z naszym zarysem żywotnych praw milczenia (w mowie ludzkiej i w dziejach) można by wszystkie wieki, jeden po drugim, obejrzeć, jak one myśli swoje podawały sobie w przemilczaniu głębokim.

I nie tylko wieki!... bo biegły ascetycznie umysł może tygodnie i dni życia umiałby zobaczyć, jak zasuwają się w siebie, i z siebie podawają na tymże samym prawie-przemilczenia...

Na cóż zaś uchylam nieco tej zasłony?... Oto na to, iż w nasze umysłowe-sprawy jeszcze z samymże drukiem weszło wiele spółdziałań i przyśpieszeń mechanicznych, chemicznych, elektrycznych.. . musi przeto sztuka-czytania, jeżeli nie prześcignąć, to wyrównać szybkościom i promiennościom gromu, i na samym zwierciadlanym lubowaniu się drukiem nie poprzestać! Literatury także podobno będą musiały nie tylko się zająć ślicznością i obfitością jakiego bujnego swego kwiatu, lecz i uważaniem całych siebie, jako żywotną funkcję pełniących i obowiązanych: to dlatego uchyla się nieco zasłony tej...